



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

ZE WSPOMNIEN JESIENNYCH.

Poranku moich dni!—czemu ze smutną twarzą
Powracasz do mnie znów, gdy wędnie liść jesieni?
Dlaczego szmery drzew tak tęskno z tobą gwarzą?
Dlaczego skradasz się, spowity w tuman cieni?
Dlaczego z chłodu drżysz i mroźne szepcesz
[słowa,
A w biały zimny szron ubrana twoja głowa?

Czemu nie przyjdiesz tu, gdy wiosna kwieci
[błonie,
Gdy śpiewa wonny gaj, gdy słońce ziemię pieści,
Gdy w jasnej toni wód jutrzeńka świtu płonie,
Kiedy przyrody głos zapomni słów boleści?
Czemu naówczas śpisz, jakby królewna w grobie,
I nawet dusza ma nie marzy już o tobie?

Aniele młodych dni!—ty, co skrzydłami swemi
Nosileś niegdyś mnie przez górne myśli kraje,
Dziś w mrokach ślaniaś się krokami złowiesz—
[czemi,

W zakątku smętnych dum twa postać blada staje,
Na kirze twoich szat widnieją grobu pleśnie,
A pierś twa żalem łka i skarży się boleśnie.

Więc ty to jesteś, ty, który wiosenne wonie
Nosileś chętnie mi na barwnej z kwiatów szacie!
Toś ty, któregom ja oglądał w słońce koronie,
W piorunach groźnych burz i w piękna maje-
[stacie?

Więc tyś to jesteś, ty, żebraku, grobów maro,
Strasząca dzisiaj mnie zamarłą twarzą starą!

Na zdartych szatach twych uwiedle wiszą kwiaty,
Bez żywej woni już, bez barw, zbrukane w pyle..
Skrwawiony, padłeś w proch, o ptaku mój skrzy-
[dlaty,

Ty, któryś, wznosząc lot, przebiegał światów tyle!
Gdy zapadł szary mrok, jesienne dmą wichury,
Na zimny, smętny łań zleciałeś z groźnej chmury!

Antoni Pilecki.

Piotr Głmielowski.

Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

(Dalszy ciąg).

Za główną uważa zasadę, „jedności,“ która tem jest w utworze sztuki, czem indywidualność w człowieku; i z tego względu występuje przeciwko modnej wtedy mieszaninie najróżnorodniejszych żywiołów w dziele poetyckim. Powiada więc: „Wielki poeta w chwili tworzenia swojej kreacji pojmuje ją w zupełności i jedności, widzi wszystkie jej części w doskonałej harmonii indywidualizmu, rozświecone równem i jednobarwnem światłem; lecz taka chwila natężenia przechodzi; w wykonaniu genialnie pojętego dzieła następują chwile zimniejsze, wiskają się wstawki później wymyślone, wyrosłe, drugim nawrotem poczęte;—w dzieło, poczęte w zatopieniu się w najwznioślejsze uczucia melancholii i patryotyzmu, w utwór wskrzeszający z prochu święte popioły, dawne zdarzenia, byt rozwiany, — późniejsza chwila humoru wsuwa figury i opisy ledwie Bałamuta *) warte; pomiędzy strofy Homeryczne—scenę komedii Dmuszewskiego; a lenistwo, miłość ojcowska, podrzędne uwagi zestawiają te wstawki, nabawiające pstrocinny i miałości dzieło nieśmiertelnej

*) Jest to tytuł czasopisma humorystycznego, wychodzącego po polsku w Petersburgu od r. 1830—33.

warte sławy. Na takie to chwile oziębienia i prozaizmu potrzebne są stałe prawidła, zbawienna jest rada rozumnej teorii... Jedność jest jedną ręką, pięknosci w utworze sztuki. Bez niej niema prostoty, niema spokojności, niema gruntu, ogólniej powiem, bez niej niema organicznego utworu.

Widząc rozprężenie artystyczne w utworach młodych wiewirowatych romantyków, coraz bardziej zaczął nawiązywać do potrzeby ładu i porządku, a stąd i stronę formalną sztuki cenił coraz wyżej. Równocześnie wolnomyślność w rzeczach religii oraz idealizowanie zmysłowości, jakie zauważył w literaturze francuskiej po roku 1831 w pismach Wiktora Hugo, Balzaca, George Sanda, Juliusza Janina i innych, wywołały gwałtowną filipikę, wypełniającą cały drugi tom „Literatury i Krytyki” (1838) a zatytułowaną na wzór jednego z publicystów francuskich „Literaturą szaloną” (*la Littérature extravagante*). Podał ją ocenie przeważnie tylko pod względem treści i dążności. Autorom przyznawał talent literacki, nieraz wielki, lecz potępiał ich psychologię, moralność i bezreligijność. Już w tej rozprawie, pisanej żywo, bo namiętnie, wyszły na jaw święto w nim wyrobione pod wpływem stosunków życiowych oraz pod działaniem odrodzenia katolicyzmu we Francji, przekonania zachowawczo-arystokratyczne, oparte na wierze, przekonania, które następnie miały się stać barwą wszystkich poglądów Grabowskiego. Zanim atoli ujawnił je w całej rozciągłości, ogłosił jeszcze tom 3-ci i 4 ty „Literatury i krytyki”, zawierające rzecz „O szkole ukraińskiej poezji” oraz „Literaturę romansu w Polsce”, obejmującą jego dzieje od Bernatowicza do pierwszych prób Kraszewskiego. Dopiero gdy w r. 1840 zapoznał się z Henrykiem hr. Rzewuskim, uległ przewadze jego umysłu, stał się fanatycznym obrońcą ustroju politycznego przeszłości, zwątpił o siłę rozumu ludzkiego, występował przeciwko filozofii niemieckiej, której poprzednio był wyznawcą, (co prawda bardzo powierzchownym, bo nie znającym jej należycie) i kazał się korzyć ślepo przed prawdami wiary. Takimi myślami przepełniona jest dwutomowa jego „Korespondencja literacka” 1841—43, Wilno) poświęcona uwielbieniu dla pisarzy, kreślących swe utwory w duchu katolickim, przede wszystkim zaś dla Henryka Rzewuskiego. Przed Rzewuskim nie było jego zdaniem, „żywej i szczerzej tradycji narodowej”. Rzewuski to pierwszy genialny Polak, jakiego mu się widzieć zdarzyło. W obec Rzewuskiego w kąt musiał iść Mickiewicz, bo ten w „Panu Tadeuszu” usiłował „sąsiedztwo litewskie i zdarzenie niniejsze podnieść do majestatu starożytnego, a pomimo wielkich piękności częściowych, natworzył fałszów i nierówności”. (Korespondencja. II, 170); tymczasem w „Pamiętkach Soplicy”, — „dawne ukształcenie, odrębny charakter narodowy, nasz sposób widzenia i czucia raz pierwszy znajdowały mowę i plastyczną formę sztuki”. To zaślepienie w obec talentu niewątpliwie znacznego, bo mającego ogromne wady, to widzenie w Rzewuskim genialnego poety, wielkiego filozofa, polityka, historyka w połączeniu z klerykalno-arystokratycznymi poglądami, przyczyniło się do rozwiania aureoli, jaka otaczała Grabowskiego pomiędzy 1834 a 1840 rokiem. Zaczęto spostrzegać coraz wyraźniej, że co było dobrego w dawniejszych jego pismach, to wziął ze znakomitego krytyka francuskiego Villemaina, że jego własne opinie o pięknościach poetycznych były bardzo kapryśne, bo nie wychodziły z jakiejś zasady, lecz wypływały z chwilowego wrażenia, że wskutek tego pisał się nieraz sam z sobą w sprzeczności. Sam Grabowski, gdy był szczerym, uznał „wiotkość” dotychczasowej swojej estetyki; i zarzucił dawniejsze przechwalanie się, że ma swój „systemat literacki”, poprzestając na mniemaniu, iż czyni tylko „praktyczne” uwagi nad dziełami piękna. Młodzi zwolennicy filozofii i estetyki Hegla powiedzieli mu wprost, że jest tylko „empirykiem” w krytyce, co w ich ustach znaczyło zupełne odsądzenie od prawa zabierania głosu w sprawach zasady estetycznej.

Grabowski uznał w duchu słuszność tej uwagi i gdy mu Eleonora Ziemięcka, wydawczyni „Pielgrzyma” zaproponowała napisanie zasad krytyki w duchu chrześcijańskim, odpowiedział jej bez wahania odmownie: „Bardzo mi się zdaje, że porządnej takiej rozprawy nie potrafiłbym napisać. Jestem raczej człowiek czynu jak teorii, i możebym łatwiej zdobył się na kawalek wzoru takiej krytyki, a nie na wyłożenie spokojne i zupełne jej prawideł.” Uważał zresztą, że taki kodeks krytyczny byłby bezowocny, gdyż pod jego boki, „pisałby każdy krytyki potoczne jakby umiał, jakby mógł i jakby chciał” (Pielgrzym, 1843, II, 334). I on sam pisywał takie „potoczne krytyki” z większą lub mniejszą werwą, stylem urobionym na francuszczyźnie z mnóstwem wyrazów obcych, ze składnią częstokroć nie polską, z gadatliwością odbiegającą nieraz od rzeczy.

Nawet w obronie, zasad zachowawczych niedługo już po r. 1843 był czynnym. Zamierzone przezeń czasopismo w duchu panslawistycznym, nie przyszło do skutku. Coraz mniej pisywał, zwrócił się nawet od literatury do malarstwa i ogłosił swoje w tej mierze uwagi, wraz z całą korespondencją, niemi wywołaną, w dziełku zatytułowanym: „Artykuły literackie, krytyczne, estetyczne” (1849 Warszawa). Zajął się potem pracami historyczno-archeologicznymi, a gdy znów po kilku latach wrócił do krytyki literackiej i zaczął pisywać „Listy” najprzód do „Gazety Codziennej”, potem do „Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych”, niczem już aż do zgonu nie zdołał na siebie zwrócić bliższej uwagi. Ceniono tylko dawniejsze jego prace, jako zabytek tej doby w rozwoju literatury naszej, kiedy zdanie jego wywierało wpływ na umysły, ale od kierowania opinią bieżącą co do dzieł nowych, usuwano go. Berło krytyki przeszło w inne ręce, mające więcej hartu, choć nie umiejące tak zręcznie władać piórem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

BEZ DUSZY

POWIEŚĆ

przez

Gecylję Walewską.

(Dalszy ciąg).

VI.

— Proszę stać spokojnie: inaczej... do jesieni nie skończę obrazu! — zawołał Norden szorstko, gdy Nuna, pochyliwszy się cokolwiek naprzód, chciała spojrzeć przez okno na postać maszerującego tam i napowrót po żwirze alei mężczyzny, który wydawał się jej podobnym do Badena.

— Śledzą mnie: wczoraj Pschütt, dziś Baden odprawia godzinki przed oknami. Cóż z tego? Nie robię tajemnicy, że przychodzę tutaj. — pomyślała i nachyliła głowę jeszcze mocniej, by przekonać się, czy wzrok jej nie myli, czy naprawdę młody Niemiec chodzi po ogrodzie?

Norden szarpnął się niecierpliwie.

— Proszę stać spokojnie! — krzyknął jeszcze ostrzej z wyraźnym już rozkazem w głosie.

Nuna zmarszczyła brwi. Usta jej zadrżały gniewem. Chciała zejść z małego wzniesienia, na którym stała, rzucić z siebie gazę, którą była osłonięta i wybieść z pracowni, by nie wrócić już więcej.

— Traktuje mnie, jak płatną modelkę: zwykle go najmitę nie musztrowałby z większą bez-

względnością... Dostyć już tego... rzucę wszystko... Co mnie obchodzi, że nie skończy obrazu? Niech wie, że on zależy odemnie, nie ja od niego... pomyślała i już poruszyła się, chcąc zstąpić z prowizorycznej estrady, gdy wtem spojrzała na Nordena i zatrzymała się nagle.

Jak zwykle, podczas malowania był na pół przytomny:

Oczy mu pały, na policzki wystąpiły dwie plamy ceglaste, zrazu nieznaczne, rosące wszakże w miarę pracy; usta jego drgały nerwowo; włosy w nieładzie spadały na czoło; ręka, chuda i biała, jak opłatek, suchotnicza ręka poruszała się szybko, zmieniając pędzle, czerpiąc barwy z palety i przenosząc je na płótno.

Nie zdawało się go nie obchodzić po za tą gorączkową, szybką robotą. Nie miał oczów i uszów dla obrazów świata zewnętrznego; patrzył w siebie tylko i w nikłe odbicia realnych zjawisk, przetwarzane pracą umysłu na wizye ducha własnego.

Ona była jedną z takich wizyi: nie widział w niej pięknej kobiety, jak wszyscy, lecz tylko marę własnej wyobraźni, którą chwycił nie tyle wzrok, ile uczucie wewnętrzne.

Czy byłby zwrócił na nią uwagę, gdyby nie to, iż stała mu się potrzebna do obrazu?

Połowę swego istnienia tylko zdawał się związać z ziemią; po za tem... błądził w zaświatach...

Nikt jeszcze i nigdy nie okazywał jej takiej, jak on, obojętności, graniczącej niemal z lekceważeniem; mimo to nie umiała, nie mogła gniewać się na niego.

Nieraz mówiła sobie:

— Jutro nie pójdę do pracowni... przestanę go widywać... co mi po tem?

Gdy zbliżała się jednak chwila, w której—wiedziała, iż Norden czekał na nią, ogarniał ją dziwny niepokój: zrywała się z miejsca, wygładzała przez okno, biegła do ogrodu, jak gdyby szukając czegoś; wreszcie chwyciła kapelusz, parasolkę i, nie licząc się ani z własną podrażnioną ambicją, ani ze względami opinii, którą samotne te wycieczki mocno przeciw niej burzyły, biegła do pracowni: musiała iść; coś ciągnęło ją nieprzeparcie...

Od pięciu dni nie opuściła ani jednego posiedzenia, nie spóźniła się ani o minutę; rzuciła wszystko, by przyjść do niego, a on?

Zastawała go zawsze przed obrazem, którego nie widziała dotąd, zasłaniał go bowiem przed nią, mówiąc, iż drażni go, gdy ktoś kontroluje jego pracę. Witając ją obojętnym ruchem głowy, wskazując odrzucał małe wzniesienie, z którego przenosił na płótno całą jej postać, albo nie witał wcale, jak gdyby nie wymagały tego prawa grzeczności...

Ani przed przystąpieniem do pracy, ani podczas malowania nie rozmawiał z nią nigdy; czasami tylko strofował ją szorstko, gdy zmieniała pozę. Po skończonym posiedzeniu opadał zwykle na fotel, dysząc ciężko i, zmęczony, wyczerpany, nie żegnał jej najczęściej, nie widział, gdy wychodziła...

I to wszystko przebaczała mu ona, tak bezwzględna dla innych!

Dziś Norden powitał ją uprzejmiej, niż zwykle.

— Za parę godzin powrócę panią światu—rzekł, podając jej rękę. Obraz już mam na ukończeniu, ostatnie posiedzenie jednak będzie najbardziej męczące: poproszę o pozę, w której ustawiłem panią po raz pierwszy, gdy zdejmowałem szkic ogólny; nie wiem, czy pani wytrwa w niej długo, a zależy mi na spokoju...

Przyrzekła wytrwać. Norden wprowadził ją na małe podjum, pochylił naprzód lekko połowę jej korpusu, ręce podniósł w górę, by zawisły w przestrzeni, jak gdyby szukając czegoś, wreszcie, obrzucając zwojami gazy gładką białą suknię, w której przychodziła do niego, z większym jeszcze, niż zazwyczaj, pośpiechem wziął się do roboty.

Parę razy krzyknął: „proszę stać spokojnie!” — poczem umilkł. Ona jakby skamieniała w ruchu, który jej nadał, on patrząc przymrużonymi oczami to na nią, to na niewielkie, w białej ujęte płótno, malował z gorączkową szybkością.

Głuche milczenie zaległo pracownię. W wielkiej ciszy, spotęgowanej półmrokiem przysłoniętych od góry okien, Nunie wydało się naraz, iż jest tym cieniem, płynącym w przestworzach nad niezmierzoną, blaskiem księżycowym zalaną płaszczyzną, cieniem którym raz już widziała siebie w majaczeniach gorączki. Opanowała ją dziwna trwoga. Chciała opuścić ręce, zejść z estrady, magiczna wola malarza trzymała ją jednak na miejscu: nie śmiała wykonać najbliższego ruchu i dopiero, gdy Norden odsuwając w głąb sztalugi, zawołał: „skończone!” zstąpiła powoli z podium.

W głowie jej się kręciło; była bliska zemdlenia.

Norden spojrzał na nią z niepokojem.

— Trzymałem panią za długo... przeliczyłem się z siłami jej... chciałem dziś koniecznie skończyć obraz... moja wina... Czem mogę orzeźwić panią?—spytał.

Skinęła, by przysunąć fotel, na który padła straciwszy nagle równowagę i przytomność umysłu.

Gdy po chwili otworzyła ciężkie, jakby na rdzawych zawiasach osadzone powieki, ujrzała przed sobą Nordena, rozcierającego jej skronie.

Ogarnęło ją wrażenie wielkiej rozkoszy, wielkiego, słodkiego upojenia. Ujęła obie jego ręce i drżącym ze wzruszenia głosem rzekła:

— Byłam dobrą, posłuszną modelką; w nagrodę za to będzie pan do mnie przychodził przez cały czas mojego pobytu tutaj codziennie: czy dobrze?

Wpiła w niego wielkie swe oczy, z których zeszła jakby powłoka dawnej martwoty i czekała na odpowiedź.

On usiadł przy niej na niskim dębowym zydlu.

— Coby pani przyszło z takiego, jak ja, dziwaka? Popsułbym tylko to normalne, wesole życie, jakie prowadzi pani teraz—rzekł, patrząc w nią bladym, zmęczonym wzrokiem.

— Dla pana gotowam wyrzec się całego mojego otoczenia... Pan otwiera przedemną jakieś nowe światy... Nigdy nie doznawałam takich wrażeń. Zdaje mi się, że znam pana już oddawna... Wszak i pan miał to samo złudzenie, widząc mnie po raz pierwszy: czy ono trwa jeszcze?

Skinął głową na znak twierdzenia; zdawało się, że słuchał głosu jej z upojeniem, przymrużył bowiem nawet oczy, jak gdyby napawając się nim, nie mówiąc nic wszakże.

Ona ciągnęła dalej:

— Ja wiem, że, gdyby nie to, iż stałam się potrzebną panu do obrazu, nie zwróciłby pan na mnie uwagi, ale teraz przecież za to choćby, że przychodziłam tak regularnie sama, wbrew woli ojca, wbrew opinii całego tutejszego towarzystwa, które oburza się na mnie za lekceważenie form przyjętych, zasługuję chyba na trochę uprzejmości ze strony pana; pan będzie mnie odwiedzał codziennie: prawda? Inaczej, wyjadę stąd natychmiast, jutro bodaj, nie zobaczywszy nawet skończonego obrazu, do którego pozostawałam...

On zmarszczył brwi nagle, zasępił się i, spuszczaając oczy, odparł ostro:

— Obraz stanie się pani własnością, skoro wróci z wystawy, przedtem jednak nie zobaczy go nikt, nawet pani. To już mój zwyczaj: o płótnach, wysłanych w świat, nie myślę: przestają istnieć dla mnie. Masowe sądy są mi obojętne; krytyk nie czytuje wcale; w pracowni wszakże to, co stworzę, mam tylko dla siebie samego i nie nie byłoby w stanie zmienić tego dziwactwa...

Nastało głuche milczenie. Nuna nachmurzyła się zrazu: oburzyła ją impertynencka odmowa Nordena, natychmiast wszakże pomyślała:

— Może wszyscy wielcy ludzie mają takie kaprysy? Może rodzi je talent? Czy podobna gniewać się o nie?

I rozchmurzyła czoło. Opanowała ją tylko jakaś wielka nieśmiałość; zdziwiła się, że przed chwilą mogła mówić tak szczerze, serdecznie z człowiekiem, który o tyle wyższym był od niej;—uczuła nagle jakby pieczęć milczenia na ustach; wyrazy uwieźły jej w krtani.

Wstała. Zaczęła ubierać się szybko.

— Obraziłem panią?—spytał Norden, podchodząc do niej i biorąc ją za rękę.

— Nie, nie umiałabym gniewać się na pana; przebaczam mu to, czego przez całe życie nie darowałabym innym.. odpowiedziała cicho, spuściwszy oczy.

On ścisnął obie jej ręce.

— Przyjdę do pani—rzekł. Ale wówczas tylko, gdy zastanę ją samą... Ja tak odwykłem od ludzi! Tak mi źle wśród nich! Banalność salonowych rozmów to zaraza duszy... Zwarte, silne ciało grup towarzyskich rzuca się na nią, jak owad na liść świeży i wysysa z niej wszelką indywidualność. Kto chce pozostać sobą, musi być sam i, jak w zwierciadło, patrzeć w siebie: inaczej zatraci się szybko...

Nuna nie usłyszała dobrze słów tych, wyrzeczonych powoli wprawdzie, ale tak cicho, iż trudno je było pochwycić, mimowoli jednak skłoniła głowę.

Wszystko, co Norden powiedział, wydawało się jej jakieś odmienne od tego, co mówili inni; musiało być mądre i głębokie: wierzyła w to z góry.

Pierwszy raz w życiu spotkała człowieka z takim wielkim, ogólnie uznanym talentem: to też patrzyła nań oslepionym blaskiem jego chwały oczyma, po których dotąd, jak po tafli szkła, ześlizgiwały się widziane obrazy.

— Ja dla pana mogę wyrzec się ludzi, ale pan czy zechciałby wyrzec się samotności swej dla mnie?—spytała powoli, wpijając w niego wielkie swe oczy.

Kilka namiętnych błysków zadrgało naraz w jego źrenicach.

— Kto wie?—rzekł, patrząc na nią. Pani zaczyna budzić we mnie porywy i wrażenia, których, sądziłem, że nie doznam już nigdy. Bronielem się przed nimi. Od pięciu lat prowadzę życie pustelnika i tęsknię tylko za spokojem.

Pani...

Nie skończył. Nuna schwyciła obie jego ręce i przycisnęła je do ust gorąco, mocno.

— Pan—rzekła szybko—otwiera mi serce; pan kładzie we mnie duszę...

Nie zdążył odpowiedzieć; nie zdążył zdać sobie sprawy z tego, co zaszło, gdy, puściwszy ręce, na których paliły go pocałunki ust jej, wybiegła z pracowni.

W ogrodzie, na żwirze alei, zaskrzypiały jej kroki:

Norden podszedł do okna.

W głowie mu się kręciło; serce biło, jak młotem.

Co się z nim działo? Sam dobrze nie wiedział.

Naruszono spokój jego; wzburzono całą wewnętrzną jego istotę. czy zdoła odzyskać znowu tę wielką równowagę, na którą pracował od lat tylu?

Oparł się o framugę i wyjrzał przez otwarty lufcik.

Biała sylwetka Nuny zniknęła w oczach jego za klombami róż i lewkonii.

Ogarnął go żal i wrażenie pustki.

— Czemu nie zatrzymałem jej dłużej?—pomyślał i głos jej, miękki, pieszczotliwy, tak odmienny od martwego wyrazu całej postaci, zabrzmiał mu w uszach nagle.

Przycisnął czoło do szyby okna i myślał:

— Ta kobieta wywiera na mnie dziwny urok... Zdaje mi się, że znam ją już oddawna, a jednak tak nie jest. Gdy bym był młodszy, kto wie; może zakochoałbym się w niej ale dziś...

Przebiegł pamięcią szybko ascetyczne życie, jakie prowadził od lat pięciu, nie widując prawie ludzi, nie wychodząc za próg ustronnej swej pracowni na krańcu wielkiego miasta, w którego głównych punktach nie bywał nigdy.

Światowy wir znudził go już dawno. Niegdyś bawił się, szalał wraz z innymi; dziś... najwyższą rozkoszą była dlań twórcza ekstaza.

W ciszy zewnętrznej wpadał w nią często, a wówczas zdawało mu się, że duch jego nie istnieje sam przez się, że zlewa się z wszechbytem, którego on słabą cząstką stanowi zaledwie.

Zaczął rozmyślać nad indyjską nirwaną i pro-

wadzącami do niej szczeblami metempsychozy; sprowadził sobie kilka ksiąg buddystycznych i czytał je po nocach, aż wreszcie ani spostrzegł, jak teorie Sakjamuni przesiąkły całą jego istotą.

Gorliwy; pobożny chrześcijanin, nie czuł w nich rozdzwiku z dogmatem Ewangelii, którą kładł obok ksiąg mędrców hinduskiego. Temi samymi ustami, którymi modlił się do Boga Ojca i Boga—Syna o prawosć myśli swoich, temi samymi ustami wzywał wielką ciszę nieświadomości, jaką ma dawać nirwana.

W życiu swoim przeszedł już niejedno wielkie duchowe przeobrażenie. Z krańcowego optymisty stał się naraz zbolalym chorym pesymistą; skrajny realista przerzucił się gwałtownym skokiem w sferę czystej myśli, a w końcu... nie zdążył zdać sobie sprawy, jak szybko szaly życiowe zastąpiła mu surowa bezwzględna askaza.

Usunął się od ludzi.

Każde silniejsze zewnętrzne wrażenie zdawało się cofać go z drogi ewolucji, psuć trud, podjęty w kierunku wyzwolenia. Cisza, wielka cisza, unikanie świata mogły mu zapewnić jedynie wieczność bez dalszych przeobrażeń ducha i ciała.

Jak fakir indyjski, albo wielki chrześcijański anachoreta, skupił się sam w sobie i postawił między sobą a światem rzeczywisty mur wielkiej abnegacji.

Praca chroniła go od nudy pustelniczego życia; to też namiętność do niej stała się dlań nałogiem. Malował dniami całymi z przerwą na sen i krótki posiłek zaledwie; malował nie dla sławy, nie dla pieniędzy, lecz dla tego, iż w natężeniu, jak w czystej krynicy, nabierały sprężystości i siły duchowe jego władze.

Po kilku latach takich wysiłków i takiego ascetycznego życia zaczął tracić zdrowie. Policzki mu zapadły; cera przybrała przejrzystość opłatka; uczuwał ból piersi, nie zważał jednak na to; malował wciąż z gorączkową zaciekleścią, aż nareszcie zaczął mdleć niemal codziennie z wyczerpania i wówczas lekarze zalecili mu wyjazd nad morze, nakazując odpoczynek zupełny.

Postanowił odpocząć, jakkolwiek nuda bezrobocia była dlań katuszą. Sądził, iż obcowanie z przyrodą i samotne rozmyślania dadzą mu ten spokój; to skupienie, jakie dotąd znajdował w pracy jedynie, gdy w tem spotkał Nunę i, jak objawienie, powstała w nim myśl stworzenia natychmiast obrazu, który piastował w duszy już od lat kilku.

Parę tygodni wypoczynku zrodziły w nim nerwową energję. Prędej, aniżeli przypuszczał, wymalował niewielkie nastrojowe płótno, z którego był zadowolony. Gorączka twórcza rozbudziła się w nim jednak na nowo. Czuł, iż nie wytrwa w dalszym rozleniwieniu; musiał wrócić do pracy; co bez niej znaczyło życie?

Słońce poczęło zachodzić, gdy, odstąpiwszy od okna, powiedział sobie, iż jutro zaraz od rana zacznie malować, zdejmiemy kilka obrazków morskich, a potem...

Projekt jeden za drugim cisnęły mu się do głowy, nie mógł ująć żadnego z nich wszakże w silne stanowcze wyobrażenie; rozbiegały się, jak stada gołębi, hucząc w głowie, aż pękały skronie.

Co to znaczyło? Czyżby tracił moc twórczego skupienia?

Opanowała go nagle, niepojęta trwoga. Wybiegł z domu, jak gdyby uciekając przed nią.

W ogrodzie owionął go zapach róż i lewkonii. Stał. Wydało mu się, iż woń tę zostawiła tutaj Nuna za sobą.

Obraz jej żywo, wyraźnie zarysował się przed nim. Sprawilo mu to lekki zawrót głowy. Zeszedłszy nad morze, zaczął myśleć:

— Kto ona? Wyrafinowana, zręczna kokietka, czy też puste serce, które naprawdę dla mnie dopiero bić zaczyna?

Nagle otrząsnął się.

Pierwszy raz od lat pięciu obraz kobiety tak natarczywie, tak bezwzględnie zaczął narzucać się myślom jego.

Miewał niegdyś przelotne szaly miłosne: jak musujące wino, podniecały one w nim energję

i werwę życiową dziś jednak zdawało mu się, iż nie był zdolnym do nich.

Prawdziwie nie kochał nigdy; nie znał tych wielkich, wstrząsających uczuć, które bądź, jak huragan, niosą zniszczenie, bądź, jak błyskawica, otwierają niebo przed olśnionym wzrokiem. Były lata, kiedy tęsknił do nich; dziś... bał się ich: jedna burza namiętna mogła zniweczyć ten spokój ducha, który osiągnął.

Od lat pięciu w kobiecie widział zły lub dobry model jedynie; nie myślał o nich, gdy wychodziły za próg pracowni.

Nuna od pierwszego wejrzenia zrobiła na nim wrażenie. Mamił sam siebie, mówiąc, iż szuka w niej wzoru do obrazu jedynie. Siłił się w obec niej na obojętność, coś ciągnęło go do niej wszakże nieprzepartą mocą. Przy robocie zapominał o tem, lecz, gdy wychodziła za próg pracowni, mimowoli oglądał się za nią i uczuwał jakąś dziwną pustkę dokoła siebie.

Nie, jednak ta kobieta nie mogła stanąć między nim a tym jedynym celem, do którego dążył, tą przyszłą nirwaną, do której wyciągał ręce.

Parę lat pozostawało mu jeszcze do życia: czyżby miał mu je zepsuć obłęd miłosny?

Nie chce, nie może poddać się pokusie ziemskich wrażeń: będzie ich unikał; wyjedzie stąd na jaką samotną bezludną wyspę: w obcowaniu z przyrodą odnajdzie nadwerżoną ciszę wewnętrzną...

Idąc szybko wzdłuż wybrzeża, marszczył co chwilę brwi i mrużył powieki, jak gdyby usiłując zrzucić z myśli i z oczów swoich jakiś obraz uparty.

Skręcił wreszcie w bok, a potem wąską uliczką wspinał się w górę cokolwiek.

Na odsłoniętej werandzie restauracji czekał na niego zastawiony drewnianem krzesłem stolik, przy którym siadywał codziennie po południu, wpatrując się w grę barw zachodzącego słońca lub czytając dialogi Platona.

Słońce gasło już w smugach seledynu i topazów. Ciepły wiatr spędził od zachodu kilka chmur w kształcie olbrzymiego pierzastego wachlarza, który z lewej strony mienił się powłoką różu i topazów, z prawej... tonął w granatowo-ametystowych cieniach. Wielki biały orzeł z mgły podpływał ku nim, roztopiając się w miarę, im bliżej dotykał go połysk granatu. Na spienione morze kładły się ukośnie wielkie płachty różowe, drgając rytmicznym ruchem fal. Mewy, lśniące w południe, jak mdłe opale, teraz podobne były do mlecznych oparów, kołyszących się w przestrzeni. Brzeg wielkiej pomarańczowo-mosiężnej kuli wyrzał z za chmur od wschodu. To wpływał księżyc, nim jeszcze zagasło słońce. Budziły się gwiazdy, niby blade, srebrne kaganki.

Norden patrzył to w niebo, to w morze. Czar przyrody upajał go zwykle, pobudzał do tych wielkich wewnętrznych skupień, w których widział rozkosz bytu najwyższą.

Dziś... myśli jego rwały się, chaotyczne, bezładne, jak te białe chmury, które gnał wiatr ciepły.

Wyraźnie w pojęciach jego rysował się jeden tylko obraz, przed którym marszczył brwi i mrużył powieki.

Nuna!

Imię to zabrzmiało nagle za plecami jego.

Obejrzał się: nie było nikogo; kto żył na wyspie, podałby na koncert popołudniowy. Co znaczył więc ten szept dziwny?

Wyjął książkę, spróbował czytać, nic nie rozumiał jednak.

Libery skakały przed oczami jego, jak baletnice; z każdej z nich wyglądała sylwetka młodej, smukłej kobiety.

Ależ to czary!

Zaklął niemal głośno, rzucił książkę na stół, wyjął pieniądze, by zapłacić za kufel groku, który kazał podać sobie ku zdziwieniu całej służby i, załatwiwszy rachunek, zbiegł czempredek do domu.

Postanowił pracować dzień, noc całą, dopóki z myśli nie zejdzie mu dręcząca natrętna mara. (Dalszy ciąg nastąpi).

NAPOMNIENIE.

Była to wspaniała postać. Olbrzymi wzrost. tęgi kark i potężne ramiona przypominały to, co głosiły podania o sile i kształtach Simsona. Ogromna twarz o wielkich piwnych oczach, orlim nosie, zawieszistych wąsach i długiej, spływającej niemal po pas, szpakowatej brodzie, wywierała wrażenie majestatyczne. Szaty jego były kosztowne a barwne, głowę pokrywał zawój z najcenniejszej tkaniny. Kroczył zawsze niezmiernie wolno, a sunąc przez miasto nikomu nie odpowiadał na pozdrowienia. Duma i poczucie wyższości szły przed nim, rozsuwając pospólstwo.

Nazywał się Joel. W Synhedrionie używano go przeważnie do celów reprezentacyjnych. Ogłaszał wyroki, odczytywał postanowienia i udzielał napomnień.

Gdy stanął w świątyni na wzniesieniu wyglądał wspaniale. Głęboki głos jego rozlegał się jak dźwięk trąby mosiężnej, w którą uderzał oddech najzdolniejszego sztukmistrza. Treść jego przemówień była przedtem ściśle sformułowana; Joel nie potrzebował nic dodawać, ani ujmować; przemówienia te układali ludzie biegli w prawie i władający precyzyjnie językiem. Joel wygłaszał ich słowa przepięknym swym głosem, przydawał im uroczystości postawą. Więc gdy się odezwał, rzesze milkły i słuchały a każda sylaba padała głęboko do ich duszy. Wszelkie tedy wyroki, obwieszczenia, napomnienia i odezwy, wychodzące od Synhedrionu, lud bezpośrednio łączył z postacią Joela, przypisując mu największe znaczenie wśród siedemdziesięciu członków w Wysokiej Radzie, Joel zaczął z biegiem czasu podzielać to przekonanie, co poszło mu teraz łatwiej, że w chwilach onych, gdy stawał przed ludem, inni członkowie asystowali mu z najgłębszym uszanowaniem, podawali pergamin i usługiwali mu, aby tym sposobem nadać temu, co wygłaszał, więcej powagi.

Uwierzył tedy Joel w wielką swą mądrość i w wyjątkowe znaczenie swoje. Uwierzył i czuł się niezmiernie szczęśliwym. Nic nie mąciło źródła jego myśli. Rozgłosne jego bogactwo mnożyło się z dniem każdym. Dzieci jego były zdrowe, zamożne, poważane i również szczęśliwe. I zdało się Joelowi, że kogo Pan wybrał, temu przysporzył dóbr ziemskich, aby mógł wole jego spełniać.

I zdało mu się także, że biedni są ofiarami własnych grzechów, albo win przodków. Bez winy i grzechu nikt nie mógł być wedle jego mniemania ubogim. On nie czuł w sobie żadnej winy i był bogatym a z tego biednego pospólstwa co chwila kogoś przed sąd prowadzono i karano. Sędzia Joel wiedział, ile to było krzywd, ile obmów, ile wzywania Imienia Pana nadaremno, Wiedział, ile było oszustw i niepożbożności, ile targnięć się na cudzą żonę, ile lichwy i fałszywego świadectwa. Dlaczego winowajcy pochodzili tylko z pospólstwa? Dlaczego ani jeden nie pochodził z Perusim. Więc pojęcie pospólstwa zlało się w jego głowie, z pojęciem niesprawiedliwości. Gardził tedy onem pospólstwem tak, jak gardził grzechem.

Szczególniejszą zaś pogardę czuł względem celników, którzy byli głośni z nieuczciwości. Ale gardził nimi także i z tego powodu, że nigdy nie mógł się im wymówić od podatku, którego niezmiernie nie lubił płacić.

W świątyni zjawiał się cztery razy tygodniowo i modlił się w te słowa:

„Dziękuję ci, Panie, żeś mnie stworzył Joelem, synem Azdrasza, bogatego człowieka, synem Haskjela, bogatego człowieka, synem Jakuba, bogatego człowieka...”

„Dziękuję ci, Panie, żeś mi dał wzrost duży, postawę wspaniałą, która budzi szacunek u ludu. Żeś mi dał bystry rozum, serce szlachetne i piękny głos...”

„A także dziękuję ci, Panie, żeś mi dał być sprawiedliwym, nie kłamcą, nie oszustem, nie obmówcą, nie bluźniercą, nie odstępcą lub mało-wiernym...”

„A także dziękuję ci, Panie, żeś mnie wybrał do Synhedrionu, żeś mnie uczynił sędzią, który sądzi innych a sam nie jest sądzony...”

„I jeszcze dziękuję ci, Panie, żeś mnie nie uczynił człowiekiem z pospólstwa, ubogim, głupim, złym, przewrotnym.”

„Żeś mnie nie uczynił ani pasterzem, ani cieślą, ani bednarzem, ani poganiaczem osłów, ani rzeźnikiem, ani sprzedawcą bydła ofiarnych, ani posługaczem, ani celnikiem jako jest ten, który tam zamną bije się w piersi i musi mówić: Boże, bądź miłościw mnie grzesznikowi...”

„I kiedy wglądam w siebie, raduje się dusza moja i podziwia Cię, Panie, za Twoją mądrość, za Twoją doskonałość, za Twoje rozrządzenie i za Twoje rozdzielanie ludzi jednych od drugich...”

„Przeto, żeś tak zemną postąpił, widzę Twą przychylność i pilnować będę Twego Zakonu, a karać wszystkich, którzy przed sędziowskie moje oblicze będą przywiezieni...”

„Chwała Ci, Panie, na wysokościach! Tyś jest, któryś mnie stworzył i ludziom za wzór dał! Zatem Imię Twoje nie zaginie u ludu, gdyż synowie synów moich będą Ci dziękowali za mnie i na ołtarzach palili ofiary, które lud znosi...”

Następnie opuszczał świątynię i wracał przez miasto do domu. Wszyscy usuwali mu się z drogi a on stapał w swojej chwale i doskonałości, dumny, spokojny, zadowolony, niezachwiany.

Zdarzyło się, że umarł sędziwy jego ojciec Azdrasz, blisko lat sto mający, zamieszkały w Jerychonie, gdzie posiadał liczne majątki. Joel musiał wybrać się tam celem pogrzebania ojca, odprawienia przepisanej pokuty i objęcia spadku.

Spodobało mu się to miasto, leżące nad je-dnym z dopływów Jordanu. Okolica była rozkoszna. Joel pozostał tam znacznie dłużej, niż pierwotnie zamysłał i nieraz wieczorami zapuszczał się samotnie na przechadzki w głąb lasów i dolin. Sława jego i tu się rozeszła; a że mieszkańcy znali obszar jego majątki i niezliczone bogactwo w trzodach, przeto gość taki był przedmiotem ustawicznej czci.

Joela znużyły nieco owacy i to tem bardziej, że śmierć ojca wywarła na nim głębokie wrażenie. Rzadko kiedy myślał o chwili pożegnania się z światem. Teraz ujrzał nagle, iż w drabinie pokoleń tuż przed szczyblem Joel, zgiął i załamał się szczybel Azdrasz. Powiało tedy na niego jakby śmiertelny chłód. Chciał zapomnieć o tem i szukał innych myśli wśród palm, fig, gajów. Począł nawet zapuszczać się aż po Jordan, a wtedy siadał na osła i brał ze sobą poganiacza.

Na jednej z takich wycieczek zostawił poganiacza i zwierzę w lesie a sam zszedł nad Jordan, aby zażyć kąpieli. Ale że był silnie spocony, więc siadł na brzegu i studził się.

Wtedy ujrzał opodal pasterza, który się wylegiwał, a trzoda jego zbliżała się do miejsca, gdzie siedział Joel.

Więc krzyknął na pasterza, aby trzodę odegnał a sam się oddalił. Pasterz jednak ani się ruszył na jego wołanie.

Joel wstał i począł wzywać sługę; ale ten widocznie nie usłyszał, bo się nie zjawił.

Wtedy Joel podszedł do pasterza raz jeszcze kazał mu odpędzić trzodę i wraz z nią się oddalić, gdyż zamierza w tem miejscu się kąpać.

Pasterz leżąc odpowiedział, że nie uczyni tego, gdyż właśnie w tem miejscu wpędzi niebawem trzodę do rzeki, aby napoić i spławić.

Joel zapytał pasterza, czy go zna. Ten odpowiedział, iż nie wie, kim by był. Więc Joel wymienił mu swe imię. Pasterz ani drgnął.

Joel począł mu tedy wymyślać, co jednak nie wywarło żadnego wpływu na pasterza. Więc spytał się, w czyjej byłby służbie. Pasterz odparł, iż Azdraszowej. Na to Joel krzyknął, iż w takim razie służy u niego, gdyż Azdrasz umarł a on objął po nim spadek. Rozkazał tedy natychmiast pasterzowi wypełnić wolę swoją pod grozą wypędzenia go ze służby. Ale pasterz

odpowiedział, iż go nie zna a trzode zna i póki trzoda oddana jego pieczy, póty czynić będzie to, co jest dobre dla niej, a nie to, co jest przyjemne Joelowi.

Joel zdumiał. Z podobną krnąbrnością nie spotykał się nigdy. Najmożliwiej w stolicy chylił się przed nim, lud słuchał z czcią słów jego, kapłani podawali mu pergminy, a tu nagle jakiś pastuch z nad Jordanu staje mu oporem, w dodatku sługa jego, nędzarz, prostak, którego może, gdy zechce, każdej chwili wypędzić.

Gniew ogarnął go jak płomień, zdjął wierzchnią szatę, a że był silnym, postanowił bezzwłocznie śmiałka ukarać. Podeszedł tedy do niego i już wyciągnął rękę do leżącego, kiedy nagle wyskoczył kudłaty pies pasterza, rzucił mu się pod nogi i począł tak ujadać i tak kłapać zębami, że Joel musiał się cofać i opędzać mu.

Wzywał pasterza, aby na psa zawołał, krzyczał, iż go oskarży za trzymanie zwierzęcia, które było w ogólnej pogardzie. Ale pasterz nie zwracając najmniejszej uwagi na tę scenę, począł smętnym głosem wywodzić:

— Idzie do ludu swego, idzie biały, jaśniejący i czysty...

— Idzie w ubóstwie i bez berła i bez korony i bez szkarlatu...

— Ale w oku jego moc a w głosie potęga a na czołe prawda a w sercu ukochanie ludu...

— Idzie już, idzie zbawca, idzie zapowiedziany, idzie Meszjach!...

Joel tymczasem odbiegł na tyle, że już go pies nie prześladował, ale wrócił do swego pana i ułożył mu się przy głowie. Głos pasterza rozchodził się po dolinie między palmami, między trzcinami rzeczniemi i biegł po wodzie. Joel począł nasłuchiwać i zastanowiły go słowa pieśni pasterskiej.

W tej chwili posłyszał gwar głosów. Odwrócił głowę i ujrzał na pobliskim pagórku tłum ludzi, który się gromadził i siadał. Na szczycie pagórka stał dąb wyniosły. Pod tym dębem siedział jakiś mąż lat średnich. Był on do Joela zwrócony prawą stroną i widział na tle słońca, które już się skłaniało ku zachodowi.

Pasterz zostawił psa na straży a sam ruszył na pagórek i zmieształ się z tłumem.

Wszystko to dziwiło niezmiernie mieszkańca stolicy. Więc wdziawszy napowrót wierzchnią szatę ruszył ku pagórkowi. Ale gdy zbliżył się do rzędzy, wyszło naprzeciw niego dwóch mężów i popatrzywszy na jego bogate szaty i na wspaniałą zawój, zapytało go, czego by tu chciał.

Odparł im tedy, że raczej on winien ich zapytać, co robią pośród jego majętności i pastwisk.

Na to odrzekł jeden z owych mężów, iż nie wiedzą, do kogo te pastwiska należą, że nie ich to zresztą nie obchodzi, albowiem szkody żadnej nie czynią a zbierają się, by wysłuchać słowa bożego.

Joel wymienił im swe imię. Ale oni odparli, iż imię to niema dla nich żadnego znaczenia. Więc wymienili im swe stanowisko w stolicy w Synhedrionie. Odrzekli, aby tam wracał, to mu z pewnością każdy przynależną cześć odda. Tu zaś są wszyscy równi wobec Pana i niema takiego, który byłby wyższy, niż inni. Wyższym jest tylko ten, który do nich przemawia, ich nauczyciel.

Joel kazał się bezzwłocznie prowadzić do tego nauczyciela. Ale odparli mu na to, że nie mogą tego uczynić, bo nauczyciel przemawia do ludu i nie trzeba mu przeszkadzać.

Więc począł im Joel także wymyślać i byłby nawet rękę na nich podniósł, ale bał się ciżby ludu, która byłaby prawdopodobnie ich obroniła a jemu wyrządziła krzywdę. Poprzestał więc tylko na owem wymyślaniu, nie szczędząc pogardliwych wyrazów, na co oni nie odpowiadali, jeno kładli ręce na piersiach i pochylali się przed nim z uszanowaniem.

Widząc, iż w ten sposób nie nie wskóra, sięgnął pod wierzchnią odzież i dobył z mieszka dwie monety by dać każdemu z nich po jednej. Ale oni usunęli się, podnosząc w górę ręce i oznajmiając, że datku nie przyjmą.

Wtedy Joel powiedział, iż przyjmie ich do służby i da im znakomitą płacę. Odrzekli, że

do służby zgodzić się nie mogą, gdyż służą swemu nauczycielowi.

Więc Joel pytał, czy ów nauczyciel jest bogaty, jakie ma majętności i ile trzód. Odpowiedzieli, iż nie posiada nic i jest równie ubogi, jak oni.

Joel popatrzył to na jednego, to na drugiego, nie rozumiejąc.

— Więc ten wasz nauczyciel niema żadnych majętności a wy mu służycie?—zapytał.

— Służymy mu—odparli.

— Czemu? Na co on was może potrzebować? Jakże płaci was, nic nie posiadając?

— On nam też nic nie płaci i my niczego nie żądamy; bo zwiemy się wprawdzie sługami, ale nie my jemu, lecz on nam świadczy usługę.

— Nic a nic nie rozumiem waszej mowy!

— Nie dziwimy się, gdyż jeszcze oczy twoje nie są otworzone i uszy nie odemknęte.

— Może wy mi je będziecie otwierali?—zawołał pogardliwie Joel.

— Nie my, ale on, gdy przyjdzie godzina i będzie wola jego.

— Gdy będzie wola jego? Nie moja?

— Tak jest, panie.

— Któż mu tedy dał taką władzę, iż może w ten sposób poczynać sobie?

— Ten, który mieszka na niebie i jest panem nas wszystkich, naszym i twoim!—odparli, chyłąc z uszanowaniem głowy.

Joel pomyślał chwilę a następnie obrócił się do nich i począł im grozić ręką:

— Wasz nauczyciel jest kłamcą, buntownikiem, nieposłusznym Synhedrionowi...

— On jest posłuszny Bogu—wtrącili dwaj mężowie, kłaniając się.

Joel zapalał się.

— Ja was oskarżę, stawię przed Radę, będziecie karani na ciele!

— Nic nam, panie, nie uczynisz bez woli tego—rzekł jeden z mężów, wskazując na pagórek w stronę nauczyciela.

— Ja tego nauczyciela każe związać, zaprowadzić do miasta, odstawić do Jeruszałaim, każe go osądzić, obczować, każe go...

— Nic mu, panie, nie uczynisz, jeżeli on się na to nie zgodzi!

Joel zamilkł. Był istotnie bezsilny. Popatrzył tedy raz jeszcze na jednego i na drugiego a następnie splunął i wrócił ku rzędzy.

Postanowił jednak za powrotem do miasta poruszyć tę sprawę. Tymczasem szukał poganiacza i wołał za nim po lesie. Popatrzył na słońce Już skryło się na wzgórzu. Widział, jak tłumy rozpraszały się i znikły. Z pagórka zszedł pasterz, spędził trzodę do rzeki, splawił, a następnie wraz nią się oddalił. Ciemność zaczęła powoli opadać na dolinę Jordanową. Joel począł się bać. Przekliął nieposłusznego poganiacza. Chciał wreszcie na piechotę wracać do Jerychu, ale nie znał drogi i mógł łatwo zbłądzić. Na dobitkę przypominał sobie, że w lasach kryją się wilki. Ogarnął go strach coraz większy, siadł nad rzeką i drżał. Wtem dało się nagle słyszeć wołanie poganiacza, którem to wołaniem popędzał osła. Joel ruszył na jego spotkanie.

Sługa ujął osła za cugle i chciał pomódz panu przy wsiadaniu. Ale ten wyrwał mu z ręki pytkę i począł go okładać po plecach. Poganiacz klękł, wystawił plecy i stękał cicho za każdym uderzeniem, znosząc plagi cierpliwie.

Gdy Joel się zmęczył, kazał mu wstać potrzy- mać zwierzę. Wsiadł. Ruszyli w głąb lasu.

Ciemność nocna, samotność leśna i strach ukoili niebawem gniew Joela. Zwrócił się tedy do poganiacza a głos jego był bardzo łagodny.

— Czy w tym lesie są zbójcy?

— Mogą być, panie.

— A czy mogą nas napaść?

— Mogą, panie.

— Cóż mogą nam uczynić?

— Nic nam, panie, nie uczynią.

— Dlaczego mogą napaść i nic nie uczynić?

— Bo Bóg strzeże swe sługi, panie.

— To mnie! Ale żali ustrzeże ciebie?

— Nie, panie, mnie ustrzeże; gorzej będzie z tobą...

— Pyszałek jesteś! Jutro każe cię obczować.

— Uczynisz panie, co zechcesz...

Joel zamilkł. Nie był jednak zadowolony z rezultatu rozmowy. Milczał jeszcze przez chwilę, następnie zaś rzekł głosem bardzo łagodnym:

— Daruję ci winę, bo mi służysz i przez noc prowadzisz,

— Dziękuję ci, panie.

— Czy w tym borze są dzikie zwierzęta?

— Są, panie.

— Czy mogą nas opaść?

— Mogą, panie.

— I mogą nam krzywdę uczynić?

— Nic nam, panie, nie uczynią.

— Znowu mówisz tak, żeś jest niezrozumiały!

— Bóg strzeże swe sługi, panie!

— Jakże ty Bogu służysz, głupcze?

— Całem życiem, panie!

— Życie twoje obraża Boga!

— Życie ubogich nie obraża Boga, Panie...

— Więc czyje życie obraża Boga?

— Życie bogaczy, panie!

— Bogaczy? Co? Każe cię jutro obczować dwa razy, rano i wieczorem!

— Wola twoja, panie...

Joel znów zamilkł, ale coraz... bardziej był niezadowolony z obrotu rozmowy. Znowu tedy ogromnie złagodniał i rzekł:

— Namysliłem się i daruję ci słowa twoje, bo mnie będziesz bronił przed zbójami i dzikimi zwierzętami. Ale powiedz, kto cię nauczył takiej mowy?

— Ten nauczyciel, panie.

— Jaki nauczyciel?

Sługa milczał, gdyż zląkł się. Joel począł wypytywać go natargiwie:

— Może ten na wzgórzu? Ten otoczony tłumami? Tak? Opuściłeś mnie? Jego poszedłeś słuchać? Każe cię jutro trzy razy obczować, rano w południe i wieczorem...

— Wola twoja, panie...

— Jaktó, obłudniku, wola moja! Ja ci kazałem służyć mi a ty uciekasz z osłem, by słuchać mów jakiegoś włóczęgi...

— Nauczyciela, panie...

— Włóczęgi, mówię, który was buntuje i stawiony będzie przed sąd. Dlaczego słuchasz mów tego człowieka?

— Bo chcę być zbawionym i wejść do Królestwa niebieskiego.

— A ja nie wejść do Królestwa niebieskiego, co?

— Nie, panie, jeżeli nie pójdziesz jego śladem...

— Milcz głupcze i popędzaj osła, bo stanął na drodze i szczypie trawę!

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Dr Albert Zipper. Mitologia Greków i Rzymian.

Zdawałoby się, że istotnie: „skończona wielka tragedia powagi i ciszy greckiej;“ świątynie Hellady leżą w gruzach i chciwy muzealnych szczątków Anglik lub Niemiec grzebie sobie w nich bezkarnie; wyschły kastalskie źródła, umilkły głosy wyroczni, runęły łuki tryumfalne przez które ciągnęli bogowie, wodzowie i wielcy ludzie; Grecya opustoszała z piękności i z idei,

rozdała światu co miała ze światła i z natchnień ogólnoludzkich, a teraz zasiadła za lichym kramem południowych słodczy i nikt, o niej nie wie. Zbudził ją chciał Byron, drgnęła, ożyła politycznym organizmem ale nie duchem; budził ją jak uśpioną królową Słowacki ale usłyszał w grobie bohaterów sykanie świerszczów i bezbrzeżną ciszę—bez życia. Ogólny ruch pedagogiczny w Europie dąży do usunięcia greccyzny ze szkoły współczesnej i zdawałoby się, że Grecja umarła nietylko u siebie, ale że jej echo zamilknie i zgaśnie na całym świecie. Ale bogowie greccy żyją, i oto od czasu do czasu, ciągną jaskrawym hucem na odsiecz przeszłości; ciągną zawsze piękni, pełni myśli, pełni treści psychicznej, potężni żywiołową siłą ludzkich natchnień, zachwytów i namiętności, niosący w symbolach swoich wszystkie tajemnice człowieka, a w wielkości swojej wszystkie niemożliwe ideały jakie w późniejszych rozkwitły stuleciach, wracają na fali czasu z siłą świeżego i wielkiego wrażenia jak wszystko to, co ma nietylko pretensję, ale prawo do wielkości.

I zdaje się, że Grecyzm, a mianowicie Mitologia i arcydzieła greckiej literatury, które są w największej części jakby księgami tajemniczych wieczeń narodu — pozostaną na zawsze tą częścią duchowego pokarmu jaki budzić i wyrabiać będzie w nowych pokoleniach pierwotne, siły człowiecze, jego pragnienie ładu, piękna, sprawiedliwości, swobody, energii, hartu, i na wieki modelować w postawie człowieka, jakiegokolwiek dziś narodowości, ten pierwotny wzór wspańiałego, niezłomnego bohatera, który umrzeć nie powinien w współczesnych społeczeństwach, jeśli nie mają skarlec za straganami jedynie samolubnych interesów. Dlatego też może, pomimo złej metody uczenia w szkołach europejskich greccyzny, pomimo czasu, który nieraz młodzież traci nad kuciem reguł gramatycznych języka, pomimo przeciążenia jakiego powodem staje się często nauka klasycznego języka trzymają się jednak Grecja, dzięki tradycjom swych szerokich ideałów, dzięki potędze swych inteligentnych poetycznych i pięknych bogów, i dzięki autorom, którzy umieją Olimp ten święty i mądry przypomnieć ludziom i zagrać dawnymi echami na przecuciowych nerwach współczesnych. Oto jest właśnie nowa książka, pełna starożytnych bogów, napisana doskonale dla szerszej publiczności, przez wytrawnego profesora, autora podręczników mitologicznych dla młodzieży szkolnej, książka już nie szkolna tylko, — ale obszernie rzecz traktująca, z ładu jednak metodycznym, z porządkiem naukowym.

„Mitologia Greków i Rzymian“ jest jednym z dzieł, bardzo nie wielu w tym rodzaju, napisanych oryginalnie po polsku; książka to duża (str. 456) wydana elegancko, druk czytelny, cały nakład bardzo staranny, (Złoczów. W. Zukerkandel) największą jednak jest wartość wewnętrzną. Autor świat wierzeń greckich i rzymskich opowiedział szczegółowo, dokładnie, na podstawach historycznych i pewnych, nie zatracił poezji mitów wyjaśniając ich tajniki, nie splątał szczegółów i drobiazgów w mozaikę bez wyjścia, lecz z jasną nicią Aryadny w rękę prowadzi czytelnika przez wyżyny Olimpu, mroki Hadesu i subtelne zawilosci tych stosunków bosko ludzkich w jakich żyli bogowie ze sobą, z światem żywiołów i z ludźmi. Kto uważnie książkę taką czyta, kto głębszą myślą przeskoczy różnice czasów, a weźmie samego starożytnego ducha na szalę własnych wzruszeń, pożądań, pokus i walk, upadków i zwycięstw, odnajdzie w malowniczym świecie Mitologii własne swoje ja, dalekie, pierwotne, w zarysach gigantycznych, najogólniejszych, to ja — ludzki indywidualizm, który jest zawsze ten sam, zawsze z ziemskiego raju niezadowolony, zawsze goniący za dziedziną, czegoś jeszcze innego, podległy błahemu pokusie i swojej karze w następstwie, miotający się między wyżyną bogów, a śmiertelników prochem, czujący w sobie nieśmiertelną iskrę tłącą niespokojnem zarzewiem w glińskiej lampce doczesności. Zawsze dla Psyche

niedość będzie kochać i być kochaną; ona w końcu zapragnąć musi zerwania zasłony z oblicza istoty Erosa, i nieostrożna, wpadnie w otchłań tajemniczych zagadnień, które zgłębiać będzie jedno po drugim.

I nigdy w niej nie wygaśnie pragnienie coraz większej piękności, coraz jaśniejszej świadomości i coraz większej potęgi swego jestestwa. Myt Psyche zawsze na motylach skrzydłach przeleci wszelkie zapory nowoczesne stawiane greccyzmowi, zwalczy metody i regulaminy szkolne, i gdy niby już na ostracyzm skazany świat grecki zdaje się odchodzić na swe szczęśliwe wyspy, aż tu w sercach młodzieży skupia się na nowo tęczowa zagadka duszy, płaczą te same uczucia i rwą się do lotu te same skrzydła, które ongi bujały nad miodowymi łąkami Pelionu. Spuściła greckich idei, jak w testamencie zamknięta w Mitologii, tak się żywiołowo zrosła z życiem ludzkości, że już tego korzenia nie przeciąć żadnym przepisem ani czem innem zastąpić, tylko — kto chce to dziedzictwo helleńskie ratować, niechże się bierze do tego umiejętnie, niech uczy ducha, a nie reguł gramatycznych, niech nie traci czasu na mało ważne szczegóły językowe, lecz daje poznać wielką myśl greckiej wymowy, niech świata klasycznego nie mierzy martwym hexametrem, lecz tem przestrzeniem spojrzeniem, jakim Grecy umieli patrzeć ze swej ojczyzny na świat, jakim Roma, dziedziczka Grecji, panowała nad tyłu wiekami i jakie pozostało na zawsze przykładem istotnej wielkości i potęgi. Temu światu klasycznemu książka P. A. Zippera jest znacznym posiłkiem na polu walki i niejeden z czytelników, któremu trochę wyszła z pamięci „rózowopaleca jutrzeńka“, przypomni ją sobie, przypomni sobie, że już wtedy znano za laskronowy ból poskramiany potężną wolą, że znano wierność niezachwianą, i pamięć niewygasłą, że pomimo wszelkich swawoli Olimpu miłość prawdziwa była tylko jedna, a jeśli zemsta była rozkoszą, to gorącym jej jądrem była naruszona sprawiedliwość, gwałt lub krzywda. Wyznać trzeba, że dziś niewielu inteligentnych nawet ludzi zna dobrze mitologię starożytną, zaledwie historycy, literaci i artyści przyjaźnią się więcej z Apollinem, Minerwą i muzami, niewyczerpani współpracownikami sztuki; to też książka p. Zippera znajdzie niezawodnie przyjazne bardzo przyjęcie i objaśni doskonale tych, którzy zechcą, aby im było jasno na mitologicznej drodze.

Znajdujemy w dziele 87 rycin. Wybór jednak niektórych ilustracji niezawsze jest trafny; jednego i tego samego boga jest po kilka wizerunków, a w dziale dodatkowym mitologii słowiańskiej nie ma ani jednej ryciny; przyletnie niektóre ilustracje są niezbyt estetyczne a rodzaj odbicia dość blady. Taka duża i pracowicie napisana książka mogłaby mieć o wiele wykwintniejsze ilustracje; ale to rzecz bardzo kosztowna i dobrze nakładca uczynił dodając przede wszystkim najgorliwszych starych o druk, papier i korektę zupełnie poprawną. Tak więc prof. dr. A. Zipper nowym dziełem w liczny już prac szeregu zaznacza swą gorliwość i umiejętną działalność literacką, która mu już wyrobiła znane i sympatyczne imię w piśmiennictwie, mianowicie pedagogicznem, a że bogowie greccy nietylko mścić się lubili, ale i hojnie nagradzać, wyrzekną niezawodnie i nad poświęconą im księgą sybilliczne słówko dobrej wyroczni na przyszłość.

Szczesna.

ZAPYTANIE

OBRAZEK

Jerzego Orwicza.

Na majówkę połączoną z tańczącym wieczorkiem, zebrało się liczne grono; ożywienie dochodziło kulminacyjnego punktu, gdyż było już do brze po północy.

Tu i ówdzie snuły się pary, korzystając z krótkiej pauzy, między walcem, i mającym rozpocząć się kotylionem.

Na zarumienionych twarzach, błąkały się rozkoszne uśmiechy, oczy błyszczały, atmosfera zdawała się być przesiąkniętą jakimś nieuchwytnym magnetycznym prądem; niektóre pary kończyły lekką, błyskotliwą, rozpoczętą w tańcu rozmowę; powiewały wachlarze, krzyżowały się spojrzenia; jasne, lekkie, suknie pań, wyglądały jak spadłe z nieba obłoki.

W progu zaimprovizowanej balowej sali, obok smukłej powiewnej postaci kobiecej, stał przystojny brunet, którego oczy powiększone momentami szklami binokli, miały wyraz sarkazmu, a zarazem odcień pewnej demonicznej siły, za jaką zwykle szaleją kobiety.

Miał on w ręku biały kwiatek, podobny do tych jakie zdobyły jej strój balowy.

Wszak to własność Pani?... nieprawdaż? rzekł pochylając z lekką głowę w ukłonie. Pozwoli Pani zatrzymać ją dla siebie i mówiąc te słowa muskał kwiatkiem, misternie podkręcone wąski, z miną człowieka który nie przypuszcza odmowy. Delikatny profil blondynki, zwrócił się ku niemu, spojrzała mu tak prosto w oczy, jak gdyby chciała przeniknąć głębi jego myśli, i nagle rozśmiała się z pewnym przymusem.

— A! więc i Pan jest takim jak inni! odrzekła tonem znudzenia, i jakby rozczerowania. Jacy wy wszyscy jesteście podobni do siebie. Spodziewałam się po Panu więcej oryginalności... a to takie szablonowe...

Wyraz lekceważącej wszystko pewności siebie, cechujący pięknego młodzieńca, ustąpił nagle wielkiemu zdziwieniu; spojrzał na nią również uważnie, i lekko brwi ściągnął.

— Więc stanowczo nie lubi Pani nic coby trąciło szablonem?...

Tem lepiej, zanotuję to sobie na przyszłość, odparł z odcieniem ironii; pochlebia mi jednak pomimo niespodzianej porażki, że mię Pani raczyła wspaniałomyślnie trochę od tych „innych“ wyróżniać... Tak mało się znamy...

— I jak widzi Pan, okazało się to równie złudzeniem, jak zresztą wszystko na świecie!...

— O! Pani! Co za pesymizm! I to na balu... a przytem w ustach narzeczonej!... To już wcale nie szablonowe, a nawet trochę ekscentryczne. Czy mię tym razem Pani za zbytnią szczerość nie zgromi?...

— O! nie!... Za szczerość nigdy!... Ja też o ile tylko to jest możebnem jestem szczerą, i w myślach, i w słowach...

— A w czynach?...

— Czyny, odparła jakby zastanawiając się chwilę, czyny niestety nie zawsze od nas tylko wyłącznie zależą.

— Ma Pani dziwne poglądy, i dziwne usposobienie! Pragnąłbym też bardzo poznać wybranego Pani? Jaki to typ być może?

— Nieciekawyl!... odparła bez namysłu.

Zrobiła przytem grymasik na wpół filuterny, na wpół kapryśny, z którym jej było bardzo do twarzy, tak dalece do twarzy, że w oczach młodego człowieka, zamigotały jakieś ciepłe iskielki; przysunął się bliżej ku niej, z pewną natarczywością krótkowidza, który wyraz jej oczu gwałtem chce uchwycić; we wzroku jego oprócz prostej ciekawości, malowało się nowe głębsze wrażenie.

— Bajeczne!... zawołał patrząc jej w oczy badawczo.

— Bajeczne? powtórzyła za nim patrząc gdzieś w przestrzeń, a jednak takie proste i prawdziwe.

On patrzył na nią wciąż uparcie, pożerał ją prosto wzrokiem.

— Zaciekawia mię Pani! Tak, zaciekawia mię Pani bardzo, szepnął ciszej.

— Nie sądzę abym czemkolwiek zasłużyła na wyróżnienie; my wszystkie panny światowe, jesteśmy mniej więcej jednakie; są na to oddawna tradycją uświęcone formy w które wosk się wlewa, potem tężeje, i oto rok każdy przynosi nowe zastępy, takich przeciętnych woskowych laleczek, których przeznaczeniem jest bal uświetnić, być jego gwiazdą, królową etc. Z jednego wosku, z jednej gliny jesteśmy ulepione, a jednak... pochyliła głowę w zamyśleniu.

— Pani ma, więcej krwi niebieskiej w żyłach, rzekł młody człowiek, tonem wytwornej grzeczności, jak gdyby tym komplementem chciał zaszkodzić sobie jej względy.

— Arystokracja krwi? odparła żywo. Jest to jeden z anachronizmów, które stanowczo odrzucam.

— Coraz lepiej! Zkąd Pani czerpie tę stanowczość przekonania?

— Z teorii—i z życia!...

— Pani żyła jeszcze zbyt mało!

— W naszych czasach żyjemy wszyscy gorączkowo, dzień jeden, chwila czasem, uczy więcej, niż całe spokojnie przeżyte lata!

— Tak Pani, — pijemy essencję wrażeń jednym haustem, kiedy rozcieńczona wystarczyłaby na lata całe dla naszych przodków. Jest to coś w rodzaju owych skoncentrowanych pigulek homeopatycznych.

— Aaaa! Pan wierzy w homeopatyę?...

— O tyle, o ile we wszystko na świecie, to jest prawie tyle co nie.

— Jest Pan jeszcze większym odemnie pesymistą. Dla czegoż Pan dziwił się tak moim słowom?...

— Dla tego, że Pani nie ma jeszcze prawa, być rozczerowaną, „broire du noir.“ Dopiero wstępuje Pani w świat. A przytem przeżywa Pani obecnie epokę uznania przez ogół, za najszcześniejszą chwilę w życiu. Jest Pani narzeczona!... Ostatnie słowa wymówił z naciskiem, znowu badawcze spojrzenie wlepiając w twarz lekko zarumienioną, i w wyraziste ciemnoszarowe jej oczy.

— Pozwól mi Pan zapomnieć o tem na chwilę; dla czego Pan uparcie powraca do tego tematu? Nudną jest rola narzeczonej, jeśli... urwała nagle, i odwróciła głowę, jak gdyby słowa te wyrwały się jej z ust mimowoli.

— Pani jest bardzo odważną jeżeli w ten sposób zapatrując się, decydujesz się, i to tak prędko podobno?...

— Nigdy nie cofam mych postanowień, w naszej rodzinie jest to dziedzicznem, nikt nigdy jeszcze raz danego słowa nie złamał! Duma brzmiała w tych słowach, ale zarazem był smutek, wielki, przynębiający.

Oczy jej zabłysły gorączkowo. Byłoby to bohaterstwo, czyli też brawowanie nierozważne, które tyle młodych istot pociągnęło do zguby?... Co ją skłaniało do tego?

Młody człowiek zadawał sobie to pytanie, obejmując spojrzeniem wiotką postać dziewczyny. Jakież to duch przekorny ukrywał się w tym obłoku gazy, i koronek?

Ciekawość jego była coraz więcej zaostrzoną, a nerwy znajdowały się zupełnie pod wpływem uroczej istoty.

Blask jej oczu, woń perfum, lekki szelest sukni, wszystko to razem upajało go i podniecało.

Znał już tak dobrze kobiety, że był niemal wdzięcznym tej, która go jeszcze potrafiła zająć choćby na chwilę, i oto ta dziewczyna najniespodziewaniej dokazała tego cudu.

Było to tem ciekawsze że, spodziewał się ujrzeć najklasyczniejszą parę ekliw — sentymentalnych narzeczonych, tymczasem spotkał u wstępu cały szereg niespodzianek.

— Bajeczne! — Szepnął przez zęby. Było to wyrażenie, którem zwykle określał wrażenie zdziwienia.

Czy w zasadach Pani nie leży żalowanie tego co się raz stało? — Rzekł nagle.

— Nigdy, odrzekła stanowczo.

— I tak więc zupełnie rozmyślnie wykreśliła Pani słowo „Kocham“ ze swojego słownika? Czy dla tego iż jest zbyt banalne? Dodał złośliwie.

— Nie powiedziałam tego Panu, odparła jakimś dziwnie złamanym głosem; złym Pan jesteś psychologiem!

— A Pani jesteś zachwycającym sfinksem, zawołał ze szczerem zajęciem. Czyżby więc był już kto o tyle szczęśliwy, że umiał zająć Panią?...

Tak Pani, był o tyle nieszczęśliwym... szepnęła ze smutnym uśmiechem.

— Pierwszy raz w życiu spotykam kobietę tak szczerą jak Pani!...

— Wydaje się to Panu oryginalne m?

— Więcej Pani! Czarującym! W głosie Pani jest szczerść i prostota, coś tak sympatycznego co się nie da określić słowami; podziwiam Panią, i obawiam się trochę zarazem.

— Pan? Mnie? To dziwnie! Pan przecież zyskałeś sobie sławę zdobywcę serc; sławę ustaloną od lat wielu; a ja jestem tylko zwykłą panną na wydaniu, wychowaną według ogólnego szablonu. A więc powojem nie zdolnym samoistnie egzystować; i wyznaję—samoistność mię nawet nie pociąga.

Jesteś Pani w każdym razie niezmiernie zajmującą, „et c'est déjà un grand avantage pour une femme, — d'être autre...“ powiedział wielki znawca ciekawszej połowy ludzkiego rodu.

— Ale ktoś również powiedział podobno: „Il ne faut pas choisir entre les femmes, aucune ne vaut rien,“ odparła figlarnie, mrużąc przytem trochę oczy z takim wyrazem miłuchnej kokietery, że młody człowiek patrzył na nią ze wzrastającym zachwytem.

— W tem zaprzeczam mu stanowczo; jestem wręcz przeciwnego zdania, i jeżeli jest na świecie coś godnego studyowania, to wyłącznie charakteru kobiece.

— Al tak, słyszałem, że „herboryzuje“ Pan wśród ludzi. To podobno jedno ze specjalnych określeń Pana?

— Jak widzę, mówiono Pani o mnie, i Pani raczyła zapamiętać także drobne szczegóły; przypuszczam że nieszczególnie dobre zdania, słyszała Pani przeważnie, od owych usługnych przyjaciół?

— O tyle rozmaite, że mnie zainteresowały: postanowiłam sama wyrobić sobie pewne pojęcie o Panu.

— Niezmiernie ciekawy jestem rezultatów?

— Jak dotąd niezłe. Pan jesteś też „zajmującym“ że użyję tegoż samego co Pan określenia.

— Pochlebia mi to nieskończenie. Niezasłużony a szczęśliwy! — dodał, przechodząc nagle w ton żartobliwy, kłaniając się nisko!

— Nie jestem znów tak bardzo wymagającą; odparła równie wesoło, nie trzeba być geniuszem, aby mię zająć.

Nie znoszę tylko ludzi banalnych!

— A on? Jakim jest! Czy wolno wiedzieć?

— Mój narzeczony?...

— Nie pozwoliła mi Pani wspominać o nim, choć niemniej pragnąłbym wiedzieć co Pani o nim sądzi?

— Najpospolitszy człowiek pod słońcem; kocha mię aż do znudzenia, zarozumiały, gdyż wiedząc że kochałam innego, ma odwagę żenić się ze mną, i wierzy, że potrafi serce moje zdobyć, choć mu uparcie dowodzę, że to nigdy nie nastąpi...!

— Jakto? Więc Pani powiedziałaś mu otwarcie?

— Jestem szczerą zawsze, i wszędzie, to zasada, z którą myślę przejść przez życie.

— A tamten? Czy nie wart był uczucia Pani?

— Prawdopodobnie, ponieważ żeni się z inną... z bogatszą odemnie; odparła chłodno na pozór, lecz głos jej zdręgał tajonem wzruszenia.

— I Pani nie pogardzasz nim?

— Nie Pani! — Wierzę w przeznaczenie. Tak, widać musiało być. Zresztą przypuszczam, że

nie będzie szczęśliwym; lituję się, i dziwię się zarazem że mogłam go kochać kiedykolwiek.

— W każdym razie zamążpójście pani w obecnej chwili, jest krokiem rozpaczliwym; jest prawie samobójstwem moralnem. — Czy zastanowiła się pani nad tem?

— Tak panie, odparła krótko, jak gdyby ta rozmowa zaczynała ją drażnić.

— I cóż więc? — nalegał młody człowiek.

— Dałam słowo, i jak już powiedziałam panu, raz danego słowa nie łamię.

— Ależ to szaleństwo! — zawołał gwałtownie.

Uśmiechnęła się smutno na ten szczerzy wybuch.

— Nie—odparła zmienionym trochę głosem. — Czuję, że nie zakocham się już nigdy w życiu; pierwsza nieudana próba rzuca cię smutku na całe życie; a bez miłości czyż nie wszystko jedno ten? czy inny?... Ten, przynajmniej mię kocha, a ja, nie potrzebuję nic przed nim udawać.

— Rozpaczliwa jest filozofia pani; sądzę, że pani daremnie tak zwątpiłaś w swoje serce! Życie długie przed panią, a tamto uczucie wkrótce tak pani „zblękitnieje“, jak mówi Sienkiewicz, że pani sama zdziwisz się, jak mogłaś go tak przeceniać.

— Już „zblękitniało“ — rzekła jakby do siebie. — Jednak kochać po raz drugi wydaje mi się niemożliwem: Czuję, że w tem uczuciu przeżyłam całą młodość.

— Egzaltacja! Nic więcej. Wierz pani memu doświadczeniu. Przypomnę pani kiedyś, tę naszą rozmowę, pragnę tylko, żeby to nie było za późno. Namysł się pani jeszcze. Świat szeroki, ludzi pani zna tak mało, może pani najnie spodziewaniej spotkać swój „typ“ właśnie, a wtedy...!

Wstrząsnęła głową przecząco. „Wszakże to od nas samych zależy. Postaram się unikać pokus. A zresztą, odpowiem panu jednym słowem: Zawadzam już trochę w domu. Dwie młodsze siostry oczekują z niecierpliwością mego usunięcia się z placu, gdzie mają wystąpić z kolei. Ojciec tak skwapliwie przyjął oświadczenia pana Heljodora, jak gdyby to było największym szczęściem, o jakim mógł marzyć, gdyż myśl o naszym możebnem staropanieństwie dręczy go jak zmora.“

— Nie uwierzy pan jak on jest oddany statystycznym badaniom, i to go właśnie doprowadziło do wniosku, że każda panna wychodząca za mąż, robi świętną wielce aferę, ponieważ u nas liczba kobiet jest większą od mężczyzn „Une idée comme une autre.“ Cóż pan chcesz!

— Może w części ma rację ojciec pani; ale to wszystko co pani mówiłaś jest tak smutnem!...

Młody człowiek zamyślił się, i z zajęciem patrzył na smukłą postać dziewczyny.

Milczeli oboje.

— Gdyby to było w książce nie w życiu — rzekła nagle — autor skorzystałby zaraz ze zrzeczności, przeprowadzając tendencją pracy samodzielnej; byłabym więc z kolei, nauczycielką, szwaczką, kto wie? może doktorem medycyny, w powieści to tak łatwo!

— A w życiu? — ściągnął brwi niecierpliwie. Ach! nie! nie! to wszystko nie dla pani!... Te cierne ścieżki są według mnie wykojeniem do pewnego stopnia, ze wstydem przyznaję się do takiego zacoфанego zdania. Taka kobieta, jak pani, powinna istnieć na to, aby uszczęśliwiać i być szczęśliwą, na najnormalniejszej dla kobiety drodze... kochać bardzo... i bardzo być kochaną.

Uśmiechnęła się, lecz razem w oczach jej zabłysły łzy.

— Nie wszystko wszystkim jest dano — szepnęła smutnie.

Dźwięki muzyki zabrzmiały w sali. Ruch się zrobił, za chwilę musiano stanąć do kotyliona, każdy był zajęty odszukiwaniem swojej pary. Grono figlark rozpatrywało ukradkiem order, niektóre z nich przeznaczając już naprzód dla swych tancerzy.

Młodzieniec rzucił przeciągłe spojrzenie na swą piękną towarzyszkę, jakby czując, że ją ma utracić, chciał rysy jej zatrzymać w pamięci.

— Zabiorą mi Panią za chwilę! W wir uniosła! — rzekł miękko, ze smutkiem w głosie.

— Tak, panie, i teraz już odstąpiliśmy od przepisów etykiety, rozmawiając tak długo na uboju.

— A gdyby jeszcze dosłyszano przypadkiem, że mówiliśmy nie o Festival'ach, o teatrze, o wyścigach, ale potracaliśmy o struny duszy, pozeranoby nas badawczym wzrokiem argusów etyki salonowej; a są to najdokuczliwsze stanowczo okazy.

— Z kim pani tańczy tego kotyliona?

— Naturalnie z narzeczonym—odparła tak lekkim i wesołym tonem, jakby nagle przeistoczona.—Będziemy się bawić przewybornie! Nieprawdaż, że majówka udała się świetnie?

Patrzył na nią ze smutkiem i ze zdziwieniem.

— Dobrze powiedział jakiś autor francuzki, że najlepszych aktorów trzeba szukać po za sceną—rzekł z pewnym odcieniem goryczy. Młoda panna wyciągnęła ku niemu małą rączkę, i popatrzyła mu w oczy z takim wyrazem prośby, iż mu się oprzeć było niepodobna.

— Proszę pana bardzo, zapomnij pan o tej rozmowie. Przrzeknij mi pan to, inaczej pożłobałbym musiałą mej szczerości!

— Kaprys czysto kobiecy; wymaga pani rzeczy niemożliwej do spełnienia. Mogę rozmowy naszej nie przypomnieć pani, nigdy, jeśli pani tego wymaga, chociaż i to będzie dość trudnem, ale życie pani będzie dla mnie zawsze ciekawem studjum, i postaram się śledzić dalszy jego przebieg. Możemy się niespotykać wcale, ale widząc się, musimy powrócić do przerwanej rozmowy.

— Możliwe!—odparła i zamyśliła się na chwilę.—Ale zresztą wyjeżdżamy zaraz po ślubie, do majątku mego, przysiężę męża nie zobaczymy się więc prędko... będzie czas zapomnieć.

Patrzyła nań z filuternym uśmiechem, ze świadomością swojej siły.

Młody człowiek dłoń jej zatrzymał w swej dłoni.

— Musimy się obaczyć koniecznie; będę teraz prześladował panią moją obecnością; czyżbyś pani oczarowała mnie na to tylko, aby zniknąć mi z oczu na zawsze?...

— Spotkamy się w każdym razie nie prędzej jak za rok, przysiężę zimą bowiem spędzimy prawdopodobnie za granicą. Tymczasem odprowadź mnie pan do sali. Pan Heliodor musi mnie szukać, a z jego krótkim wzrokiem zadanie to nie lada.

Młodzian westchnął. A więc: „dalszy ciąg nastąpi”—rzekł, starając się nadać ton wesołym słowom.—Przerwaliśmy rozmowę w tak zajmującym miejscu...

— Cóż pan przewidujesz w dalszym ciągu?—zapytała. Dramat? Czy komedję wyższą?... Stawię tymczasem duży punkt, i żegnam pana—zaśmiała się wesoło.

— A ja, jeszcze większy znak zapytania—odparł tymże tonem.

Z szeregu młodzieży oddzielił się jeden frak czarny, i dażył szybko w stronę mówiących.

Młody człowiek ostatniem spojrzeniem objął piękną dziewczynę; skłonił się z lekka gdy pan Heliodor podał jej ramię, wprowadzając w drugi koniec sali, i badawczym wzrokiem śledził ich jeszcze długą chwilę.

— Nieciekawo!—rzekł lekceważąco z pewnym rodzajem zadowolenia, patrząc na niezgrabną postać narzeczonego, i jakby powtarzając w myśli jej słowa: „tak”, bardzo nieciekawo; chyba ten nigdy nie potrafi zdobyć jej serca!

Poprawił binokle, miał znowu zwykły sobie,

sarkastyczny uśmiech na ustach, gdy szedł przez salę, aby tancerkę do kotyliona zaprosić.

W ciągu wieczoru nie mówili z sobą więcej. A w życiu? Czy się spotkają?...

Kronika działalności kobiecej.

— Panna Aniela Szyg, znana pracowniczka na polu pedagogicznem, wydała świeżo książkę, p. t. „Rozwój pojęciowy dziecka w okresie lat 6—12. Badania nad dziećmi.” Książkę tę, jako zawierającą dużo materiału zajmującego dla rodziców i wychowawców rozbierzemy szczegółowo w najbliższej przyszłości, a na razie zaznaczyć trzeba istotną zasługę autorki w opracowaniu tak poważnego przedmiotu.

— P. Hr. Elżbieta Romanowa Potocka przetłumaczyła na język francuski utwór Sienkiewicza: „Pójdźmy za nim,” który pojawi się w tym udatnym przekładzie w jednym z pism wiedeńskich.

— Pani bar. Ziemiałkowska, która pod pseudonimem Heleny Oksza wydała tomik francuski: „Poesies en prose,” ze sprzedaży dziełka osiągnęła już prawie sumę pięciu tysięcy guldenów i złożyła takową niebawem na rzecz szkółki polskiej utrzymywanej przez Tow. Biblioteki Polskiej w Wiedniu.

— Pani Janina Kleniewska miała w Październiku odczyt w Lublinie, który zgromadził całą miejscową inteligencją w wielkiej sali teatralnej, a nawet sporo osób przyjechało ze wsi w celu wysłuchania zajmującej prelekcji. P. Kleniewska wzięła sobie za przedmiot objaśnienie słuchaczów co to jest „Stöjd,” cel tej nauki w szkołach, pożytek i dobry wpływ na wychowanie młodzieży. Prelegentka zbadała dokładnie system i postęp nauki „stöjdu” w szkołach w Szwecji gdzie takich zakładów jest już dotychczas przeszło 300. Najslawniejszym z nich jest szkoła „Stöjdu” w Nääs, mogąca być wzorem dla zakładów tego rodzaju. W gorących i jasno rzecz określających słowach opowiedziała p. Kl. jakim to wielkim i dobroczynnym czynnikiem w wychowaniu publicznem dzieci jest właśnie ta nauka „zręczności” przyspasabiająca dziecko do rozgarniętego brania się do każdej ręcznej roboty, a specjalnie przygotowujące dzieci wybornie do szkół rzemiosł i przemysłowych zawodów. W Szwecji, nawet młodzież średnich zakładów czysto naukowych, chętnie uczęszcza do szkół „Stöjdu” aby nabrać zręczności i wyćwiczyć się w ręcznych zajęciach. Prelegentka wykazała jak to „nauka zręczności” wyrabia w dziecku porządek, systematyczność w wykonywaniu nawet drobnego przedmiotu, uwagę i samodzielność. W szkołach „Stöjdu” dzieci wyrabiają z drzewa najrozmaitsze drobne przyrządy i przybory domowego użytku, dalej pudełka, roboty plecione, koszykowe, rysunki, a głównymi narzędziami pracy są—palce i nóż. P. Kleniewskiej za jej piękny i pouczający odczyt podziękowano żywymi oklaskami. Nauka zręczności jest już zaprowadzoną w „domu zarobkowym” dla dzieci założonym w Lublinie przez miejscowe Tow. Dobroczynności, a kieruje lekcyami specjalny nauczyciel wykształcony w Szwecji p. Jan Barczewski.

Naukę zręczności możnaby zastosować we wszystkich ochronkach, a szkoły ludowe w Galicji w znacznej części już ją stosują z wielkim pożytkiem biednej dziatwy wiejskiej. Widziałam na targach w małych miasteczkach Galicji sprzedawane łyżki, warząchwie drewniane, siatka, pudełka, stolnice, ramki, i różne inne przedmioty wyrabiane przez dzieci szkół miejscowych na godzinach „stöjdu.”

— Na wystawie Radomskiej w dziale przemysłu włóściańskiego, odznaczały się przeważnie bardzo licznymi okazami tkactwa z wełny wiejskie nasze kobiety. Jest tych nazwisk włóścianek wystawczyń tak wiele, że trudno by je tu wyliczać, to tylko zaznaczyć wypada koniecznie, że praca ręczna kobiet naszych na prostych starodawnych krosnach kwitnie w całej pełni, że niedała się jeszcze wyprzeć natęgowi niemieckich spekulantów którzy tani towar rozwożą po wsiach, i że jest ona zarazem chwalebnym dowodem przechowywania rodzinnej tradycji, która przechodzi z matki na córkę, jako umiejętność tkackiego wyrobu i jako zamiłowanie do stroju własnej domowej roboty. Na wystawie radomskiej widzieć można było całe szeregi ubrań włóściańskich, kobiecych i męskich, tkanych i szytych po chatach, z materii wełnianej mocnej, równej o ślicznych jaskrawych kolorach makówek, chabrów i zieleni pól i lasów. Myśl radowała się tym widokiem, bo oto przed lat setkami lud nasz ubierał się tak samo, a sięgnąwszy jeszcze dalej w przeszłość, możemy być przekonani, że niewiasty słowiańskie takie same, nosiły zapaski i spódniczki i chusty, i tak samo szły do kontyny w dzień świąteczny Kupały, postrojone barwaie i jasno jako dziś idą miedzą do kościoła na Wielkanoc lub Zielone święta. Ta część wystawy radomskiej, która z rąk włóściańskich wyszła, miała obok cech przemysłowych i gospodarskich, jeszcze jedną więcej zasługę: dokumentu historycznego. Prawdziwa wdzięczność za to należy się naszej — wieśniaczce.

Wyszła z druku książka:

ORCHIDEE

ZBIÓR NOWEL

przez

Marcellego Strzemińczyka

Cena egzemplarza kop. 90, pocztą rub. 1.

Skład główny w Księgarni

GEBETHERA i WOLFFA

Krakowskie-Przedmieście,

róg ulicy Czystej;—do nabycia w Administracyi „Bluszczu” i we wszystkich Księgarniach.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: *Jon Sunde*, nowella przez Jonasa Lie. Przekład Z. S. Arkusz 1.

Treść: Ze wspomnień jesiennych, przez Antoniego Pileckiego. — Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w w. XIX-ym (dalszy ciąg). — Bez duszy powieść przez Cecylję Walewską (dalszy ciąg). — Napomnienie. — Przegląd piśmienniczy, przez Szczęsną. — Zapytanie, obrazek Jerzego Orwicza.—Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: *Jon Sunde*, nowella przez Jonasa Lie. Przekład Z. S. Ark. 1 — Przegląd mód. 26 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja obiadu.

Przegląd Mód.

II.

Modele okryć, futer i sukien w magazynie firmy B. Herse.

Obok wystawy z kapeluszymi, długim szeregiem idą salony przeznaczone na główne ognisko firmy, na oddział konfekcyi damskiej. Oddział ten składa się z wielkich szaf, wypełnionych stosami jedwabów, pluszów, adamaszków i t. p., dalej z kilku przymierzalni, oraz z wielkim komfortem urządzonej poczekalni, w której klientki cierpliwie oczekują swojej kolei. Dyrektorka tego oddziału z uprzejmością podaje wyczerpujące objaśnienia w swym zakresie, objaśnienia poparte wspaniałymi okazami, pysznych sukien i eleganckich kostiumów.

Najmodniejszym tego sezonu materiałem jest przede wszystkim sukno, wszelkie materiały gładkie, aksamit i welwety drobno deseniowane. Sukno jest obecnie tak szeroko zastosowane, iż wszelkie strojne, obiadowe, wizytowe, a nawet ślubne suknie, są po większej części z sukna wykonywane, różniąc się tylko stosownym przybraniem. Do takich sukien na pasku z tyłu, umieszczają ozdobne klamry, wydłużające talię.

Kostiumy krawieckie „genre tailleur“, są fasonowane z przybraniem, z haftów, sukna, futra, plisek atłasowych i guzików. Do strojnych sukien jako przybrania, stosują się hafty ze szneli i jedwabiu na materyale, aplikacje z jedwabiu lub aksamitu w odpowiednim tonie, dalej naszyta i aplikacje z sukna, wykonane „en relief“, a to szczególnie do sukien jasnych, w kolorach pastelowych.

Wspaniałe wieczorowe tualety, robią się przeważnie z pięknych „crêpes de chine“, inkrustowanych rozmaitego rodzaju gipiurami, haftami, pasmanterią i modnymi dzisiaj koronkami „Luxeil“, dalej idą bogate suknie z aksamitu inkrustowanego koronkami, lub obramowanego futrami, słowem—bogactwo przybrań i pracowite wykończenia, są tego roku doprowadzone do maximum.

Ciekawą nowiną będzie zapewne wiadomość o zmianie, jaka powoli następuje w fasonie dzisiejszych, modnych, obcisłych spódnic. U sukien strojnych, jak i zwyczajniejszych, spódnice ułożone są w fałdy, lub nawet w kontrafałdy. Co więcej — ma nastąpić zupełnie inny okres mody, — zupełny jej przewrót. Na zimowy sezon, paryżki Paquin, rzucił w świat spódnice „à la bonne femme“, to jest układane naokoło bioder w równe fałdy. U pana Hersego widziałam już kilka modeli lepszych sukien w ten sposób wykonanych. Zaiste moda zanadto swobodnie igra ze swymi ofiarami.

Dział okryć przedstawia się nadzwyczaj okazale. Wspaniałe i niezwykle gustowne modele świadczą o znanym guście firmy.

Tegoroczne obcisłe, długie rotundy, odznaczają się niezwykle pięknym wykończeniem. Do najgustowniejszych zaliczam: Rotundę strojną, brązową, aksamitną, z aplikacjami z sukna, przyhaftowanego jedwabiem, z dużym, bobrowym kołnierzem. Dalej, piękną rotundę spacerową, z ciemno-ponsowej syberyjny, z sukiennymi aplikacjami, podszewce różowej, jedwabnej.

Rotunda z sukna ciemno-lila na popielicach, z nałożeniem aplikacji z grubej, jedwabnej, czarnej gipiury. Kołnier i obłożenie z czarnej angory.

Rotunda z ciemno-ponsowego sukna, z czarnymi, sukiennymi aplikacjami. Rotunda sukienna, czarna, białą stebnowana.

Forma tegorocznych rotund uległa radykalnej zmianie, są one bardzo obcisłe, bez wolantów, naszyte aplikacjami z sukna. Jedynie do strojnych „sortie de bal“, lub rotund lekkich, wolanty zostały zachowane. Zresztą jest ich tak wielka różnorodność, iż niepodobna tego szczegółowo opisywać.

Do wspaniałych okryć, zaliczam śliczny model długiego płaszcza formą sakową z jasno-niebieskiego sukna, podbity do połowy białymi karakulami, a u dołu podszyty niebieską, jedwabną, fantazyjną podszewką. Przybranie na rękawach, u dołu i wzdłuż na przodzie nałożone z grubej, gipiurowej koronki. Nadto przód, przybrany kilkoma „choux“ z aksamitu lila (évoque). Kołnier wysoki, gipiurą nałożony.

Płaszcz strojny z czarnego atlasu, ułożonego w drobne zakładki, podłużnie nałożone aplikacją z czarnego sukna. Podszewka czarna, atlasowa. Kołnier i wyłogi z białych gronostai, objętych karakulami.

Płaszcz sukienny heliotrop, pół wcięty, przody wolne, z aplikacjami odcinanymi, odstebnowanymi i naszytymi białym sutaszem, lila przerabianym. Kołnier wysoki, fantazyjny i rewery z futra.

Zaznaczam piękną, strojną pelerynę z jasnego, piaskowego sukna, na moltonie, nałożoną aplikacją z gipiury i wąskiej, brązowej aksamitki, w deseń rzuconej. Obramowanie z futra. Dół okrągły w zęby wycięty. Kołnier wysoki, futrem obłożony.

Dalej, peleryna z ponsowego sukna, złożona z trzech falban, połączonych czarną, jedwabną gipiurą. Podszewka ponsowa, atlasowa. Przód i wokół szeroki wolant z czarnego, jedwabnego muślinu, zakończonego wąską riuszką. Kołnier jednolity z gipiury, w środku obłożenie z piór.

Peleryna z ciemno-wisniowego sukna, naszyta pasami aplikacji, objętymi karakulami, oraz peleryna sukienna, czarna, z piękną aplikacją z wycinanego sukna. Chyba trudno byłoby opisać większą ilość modeli saków dłu-

gich, tak przeważnie dziś noszonych. W prostocie swej mają one jednak najprzeróżniejsze kombinacje. Kilka z modeli opisuję.

Sak czarny, sukienny, na jedwabnej podszewce, na szwach aplikacja z sukna, objęta sutaszem. Zapięcie na jeden rząd guzików z perłowej masy, kołnier czarny, aksamitny i wyłogi sukienne, objęte sutaszem.

Sak z piaskowego sukna, na jedwabnej, różowej podszewce, spięty na patki i guziki. Aplikacje nałożone w szerokie pasy. Kołnier wysoki, fantazyjny i wyłogi z nurków.

Sak zupełnie wolny, z jasnego sukna „beige“, z karczkiem nałożonym, aplikacjami, ułożonymi w wydłużony deseń, u dołu w ten sam sposób wykończony. Wyłogi i kołnier aksamitne, stosownego odcieniu.

Sak jasny „beige“, z aplikacjami u dołu, w spiczaste zęby zakończony. Na moltonie i różowej, jedwabnej podszewce, kołnier wysoki, zapięcie bez wyłogów, fason powszechnie do boa używany.

Co do formy zakietów, to przeważnie noszone są krótkie zupełnie, do figury, lub z wolnemi przodami. Pół-saki krótsze z pięknymi aplikacjami, są też bardzo noszone.

Nakoniec opisuję bardzo strojne, długie, w rodzaju rotundy „sortie de bal“, wykonane z wytłaczanego aksamitu na białym tle, w kolorowe, jaskrawe kwiaty. Na ramionach rzucone dwie falbany z żółtej, jedwabnej gazy i koronki, oraz udrapowanie z aksamitu. Kołnier i dół suto wykończone szeroką, marszczoną falbaną z żółtej gazy. Całość wytworna.

Na tym przeglądzie kończę moją wędrówkę po magazynie, mogącym się słusznie nazwać skarbcem współczesnej mody. M. Ch.

Poduszczecka na tualę z haftowaną girlandą kwiatów.

Rycina Nr 23 i 30 w Bl. Nr 46.

Oryginalną jest poduszczecka wielkości 14 centim, okrągła, zrobiona z dwóch kwadratowych kawałków, na czterech rogach związanych mocno. Bierze się kwadratowy kawałek różowego atlasu i drugi w paski jedwabnej materyi, oba wielkości 21 cent., na różowym wyszywa się girlanda kwiatów, różnokolorową, jedwabną filozelą, według wzoru na



Nr 1. Kostium do ślizgawki ze sukna z obszyciem „chinchilla“. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 2. Kostium do ślizgawki ze staniczkiem aksamitnym. (Kr. i op. pierw. s. t. Nr II, fig. 12—23).

ryc. Nr 30. Potem zeszywa się oba kawałki: różowy z żółtym i związuje na rogach mocno najpierw nitką, a później 1 ctm. szer., atlasową wstążką koloru poziomkowego. Po czterech rogach zdołają poduszczyć kokardki z tejże wstążki.

Serwetki do herbaty wyszywane.

Rycina Nr 20 — 24 w Bl. Nr 46. (Wzór odw. str. tabl. fig. 120 i 121).

Oryginalne wyszycie według rysunku z bajek Lafontaine, zdobi rogi wielkości 35 cent. serwetek do herbaty; wyszywa się trwałym jedwabiem. Rycina Nr 13 przedstawia naturalną wielkość rysunku.

Haft na tiulu paciorkami i dżetami.

Rycina Nr 27 w Bl. Nr 46. (Wzór pierw. strona tabl. fig. 58).

Rycina przedstawia śliczny haft, wykonany na czarnym tiulu 10 ct. szerokości paciorkami czarnymi i dżetami.

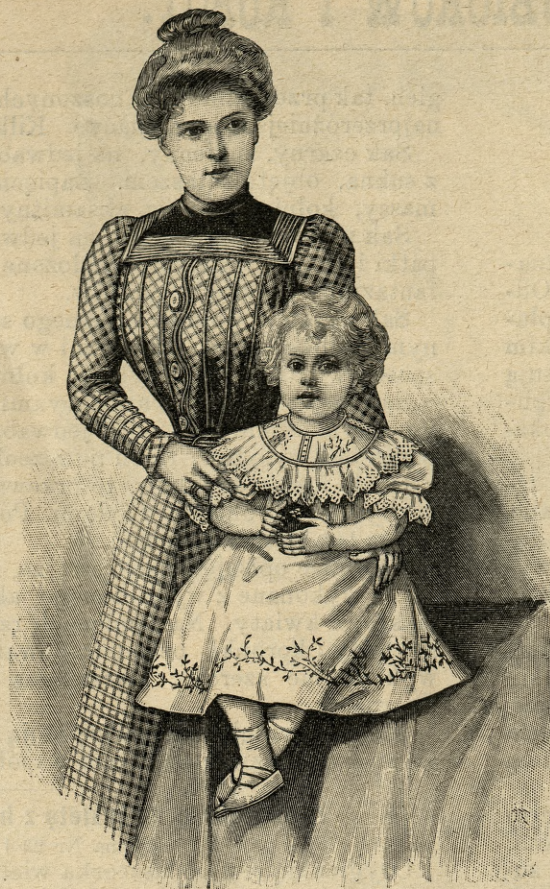
Poduszka z wyszyciem ze skórki.

Rycina Nr 31 w Bl. Nr 46. (Wzór pierw. strona tablicy fig. 57).

Rycina przedstawia poduszkę 56 ctm. długą, 45 ctm. szeroką, której wierzchnia strona zrobiona z żółtego, jedwabnego rypsu, a spodnia ze złoto-żółtej, jedwabnej materii, oszyta podwójną riuszą z materii w paski. Wierzchnia strona wyszyta jest oryginalnie w deseni delikatną skóreczką i jedwabnym sznurkiem.



Nr 15. Kostium spacerowy z przybraniem futrzanym. (Krój i opis pierwsza str. tabl. Nr 111, fig. 24—31)



Nr 3. Suknia z materiału wełnianego w kratę. Nr 4. Sukieneczka haftowana dla dziecka od 1—2 lat.

(Krój i opis pierwsza strona tablicy Nr VI, fig. 53—58).

Suknia z wełny w kratę.

Rycina Nr 3.

Ładna sukienka domowa z materiału himalaja jasno-zielonego koloru w kratę czarną, ma spódniczkę obcisłą z wąską u dołu falbaną, oszytą atlasową wstążeczką z wypustką aksamitną; przód i tył z boku zapinanego staniczka, zrobiony jest z zakładek z wypustkami aksamitnymi. Na przodzie w zęby wyszyta wstążeczką, przyozdobioną guzikami. Gładka, przestębnowana plisa atlasowa otacza karczek aksamitny.

Modne wachlarze i szalik w zęby.

Rycina Nr 6—10.

Ryc. Nr 6, przedstawia wachlarz z białej gazy, na którym namalowane są wodne lilie i ładne muszki, oprawa z perłowej massy; wachlarz ryc. Nr 7, ozdobiony jedwabnymi wstążeczkami, oprawa z kości słoniowej ze złotem; na ryc. Nr 8 widzimy elegancki, kremowy szalik w zęby, na głowę, lub szyję; bardzo elegancki jest wachlarz, przedstawiony na ryc. Nr 9, z precykami z kości słoniowej, biały, jedwabny, z haftowanym deseniem w kwiaty, z ozdobami złotymi; wachlarz z czarnych, strusich piór z oprawą szylkretową, przedstawia ryc. Nr 10.

Eleganckie balowe ubranie.

Rycina Nr 11.

Bardzo elegancką i odpowiednią dla pań w średnim wieku jest suknia z materiału jasno-popielatego „taffet” w pasy, przybrana pasami gipiurowymi, na pasach z „taffet” haftowane są kwiaty gipiurą. Tiunika u dołu zakończona gipiurowymi zębami, z pod których widoczna jest powłóczysta spódnica z falbankami z gazy, oszytymi riuszką. Staniczek ze stojącym kołnierzem zapina



Nr 11. Eleganckie ubranie wizytowe.

Nr 12. Balowe ubranie z crêpe de Chine.

Nr 13. Ubranie balowe, przybrane haftowanymi zębami.

Nr 14. Ubranie balowe z tiulu.

Nr 6—8. Modne wachlarze i chusteczka w zęby.

Nr 9 i 10. Modne wachlarze.

ty kilka razy riuszką z tiulu. Stanik z karczkiem ogarniowany riuszką, wyszyty też w deseni zapina się z tyłu. Kołnierzyk stojący i rękawy przy rękę też oszyte riuszką z tiulu.

Przepisy gospodarskie.

ZUPA FRANCUZKA.

Utrzeć na tarce 10 kartofli dużych, surowych, wymytych, oskrobanych, włożyć to do polewanej miski, zalać zimną wodą i wymieszać. Kiedy osad się ustoi, brudną wodę zlać z wierzchu, nalać czystą, wymieszać znów, zostawić do ustojenia, powtarzając powyższą manipulację do trzech razy i czystą już wodę ostatecznie odlać, a pozostałą — utarte kartofle, czyli mąkę kartoflaną, wymieszać z kwaterką tęgiego bulionu. Osobno mieć ugotowaną zupełną lub dobry rosoł, precedzić go do rondla, zagotować i gotujący zaprawić powyżej przygotowaną mąką kartoflaną, szybko mieszając, aby się grudki nie porobiły i wlać do wazy, dodawszy do tej zupy sago o dużych ziarnach, osobno na rosół ugotowane. Doskonała i bardzo wykwintna zupa. Proporcya na 6 do 8 osób.



Nr 5. Sukienka dla dziewczynki od 5—6 lat (Krój i opis pierwsza strona tablicy Nr V, fig. 43—52).

się z boku, cały jest przybrany gipiurowymi zębami. Kamizelczka z „taffet” i rozety przy staniku, dopełniają całości tego strojnego ubrania.

Ubranie balowe z „crêpe de Chine i zębów.

Rycina Nr 12.

Skromne, a przytem eleganckie ubranie, przybrane jest ażurowymi zębami. Spódniczka powłóczysta, oszyta wężykową falbaną z haftowanych zębów, z tyłu wyżej zachodzącą. Stanik głęboko wycięty z haftowanych zębów, około ogarniowany bufkami z różowej gazy. Na ramionach patki z szerokiej, czarnej aksamitki, lekko spadającej Pasek zrobiony z wąskich aksamitek zapina się na klamrę.

Ubranie balowe z haftowanym przybraniem.

Rycina Nr 13.

Na jedwabną spódniczkę koloru jasno-zielonego, spada lekka, biała, jedwabna gaza, z namalowanymi, matowymi kwiatami; zęby haftowane, na całej spódnicy tworzą bogate przybranie, u dołu zaś drobno układana, jedwabna falbana. Stanik wycięty, ozdobiony dwoma falbankami i oszyty parę razy czarnymi aksamitkami, które na przodzie zakończone są sutemi rozetami. Na ramionach też falbanki.

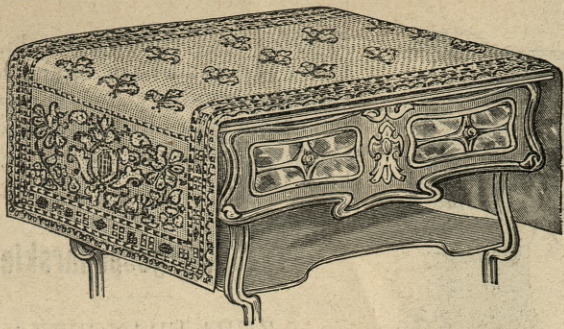
Ubranie obiadowe z tiulu.

Rycina Nr 14.

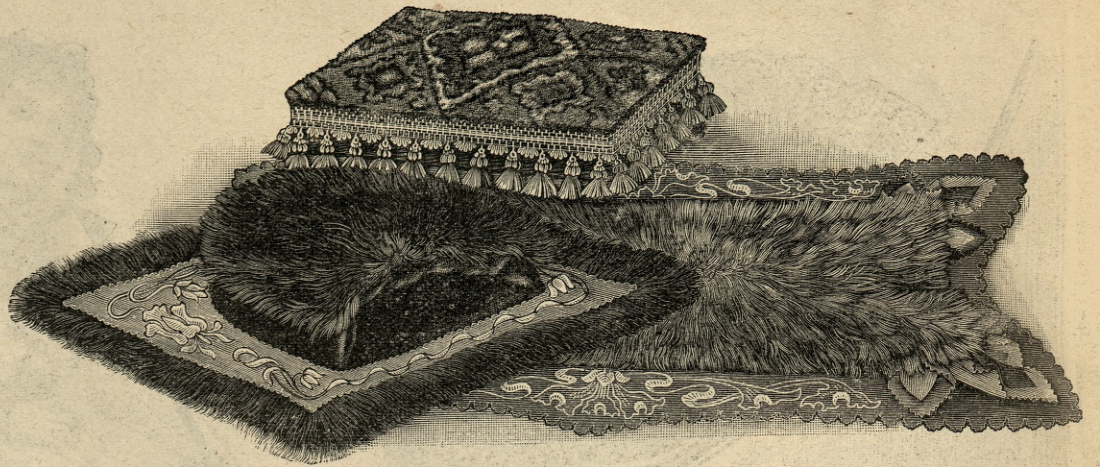
Nowością są teraz suknie z białego lub czarnego tiulu, wyszyte w deseni atlasową wstążeczką, właśnie taką przedstawia nasza rycina. Na spodniej spódnicy z białego „taffet” bardzo ładnie się odbija spódniczka z czarnego tiulu, wyszyta w kwiaty i rozmaity deseni w stylu Ludwika XV wstążeczką atlasową. Dół spódniczki oszy-



Nr 16. Ubranie wizytowe z haftowanym stanikiem. (Opis odwrotna strona tablicy).



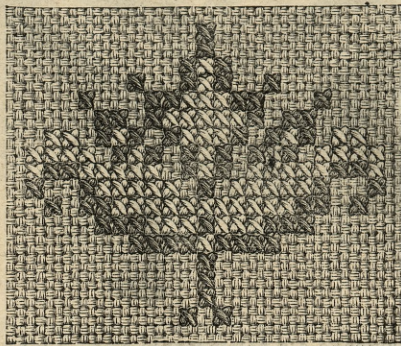
Nr 17. Serwetka
na stolik
ze szlakiem
krzyżkowym.
(do rycin Nr 18
i 26).



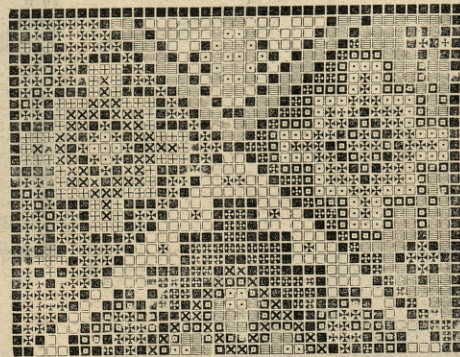
Nr 23—25. Stołeczek pod nogi, dywanik na piśmienny stolik i dywanik przed łóżko.
(do ryciny Nr 22). Wzór odwrotna strona tablicy fig 127—129.



Nr 19—21. Garnitur futrzany dla dziewczynki
od 13—14 lat.



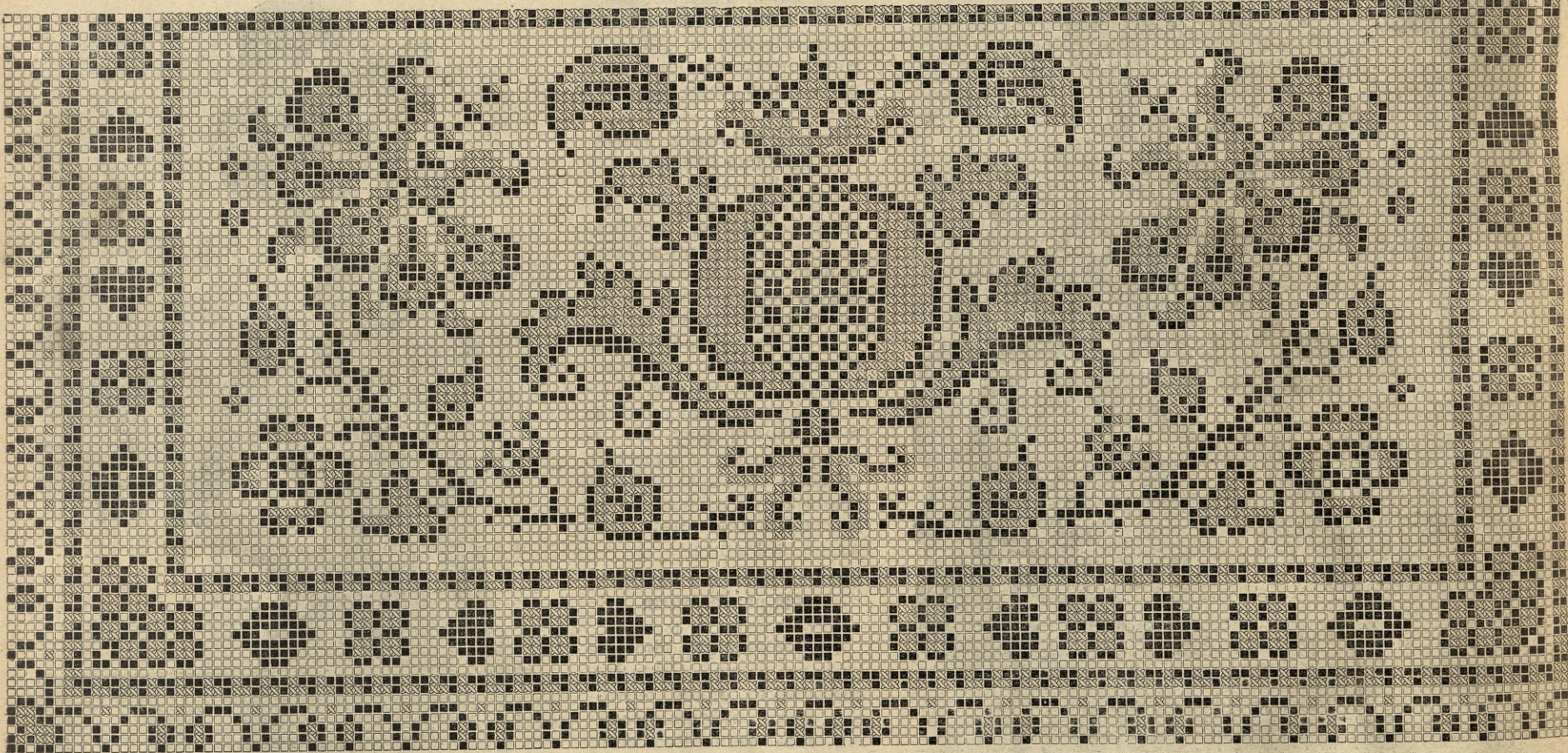
Nr 18. Wzór szlaku do ryciny Nr 17.



Nr 22. Wzór szlaku do ryciny Nr 23.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa „Juliënne.“
2. Lin po nelsonsku.
3. Kotlety baranie z sosem „à la Soubise.“
4. Kalafiory.
5. Zając z sałatą z jarzyn i rydzy.
6. Krem czekoladowy.



Nr 26. Wzór szlaku do ryciny Nr 17.

UWAGA. Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym N-rze „Blusczu“ podać się mające.



Główny Skład Zakładów Żyrardowskich



w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

poleca jak zwykle na sezon jesienny i zimowy:

Flanele, Barchany, Materyały puchowe, Kołdry watowane, flanelowe i pluszowe. Wyroby pończosznicze, Płótna, Ręczniki, Chustki i Stołową bieliznę letniego bieleńia.

Materyały meblowe, Dywany, Portyery, Firanki.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Gotowa bielizna
damska i męzka.

Gotowa bielizna
damska i męzka.